AS



Nr. 20
16 MAJA 1937 ROKU
CENA 40 GROSZY

MISTRZYNI GOLFA

MAŁOPOLSKA W KONKURSIE „ASA"
NA NAJPIĘKNIEJ ZASTAWIONY
STÓŁ WIELKANOCNY



Stół i stolik wielkanocny matki i córki pp. H. i J. W. z Przemyśla.



Święcone p. M. A. w Stanisławowie.



Święcone p. M. C. pow. Sokal.



Stół wielkanocny p. Marji Granickiej z Czortkowa.



Święcone p. sędziny Walerji Hirszowej ze Lwowa.



Stół wielkanocny inspekt. K. Górczanych z Zaleszczyk.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 20 **Niedziela 16 maja 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 20-GO:

Jednym z „siedmiu cudów świata" jest katedra medjolańska, „Il Duomo", wznosząca się ku niebu iglicami marmurów, niby koralowa rafa. W budowie rozpoczętej w 1347 r. brało udział w ciągu 500 lat około tysiąca najznakomitszych architektów i rzeźbiarzy Italji. Katedrę zdobi 365 wieżyc i wieżyczek marmurowych z figurami świętych. Nieporównanym jest widok marmurowych żebrowań, pinakli i iglic tworzących fantastyczny las marmurowy na szczycie dachu. — Oto fragment prastarej katedry.

Fot. Henn — Wiedeń.

Kraina odważnych ludzi...

Wszystko tu jest inne: w tej krainie tytanów. Królestwie pracy. Lasy tu kwitną pióropuszami dymu — lasy kominów... Rzeki są czerwone, wrzące, jak lawa—rzeki roztopionego metalu. Wzgórza czarne, pełne pełgających ogników, dyszące trującemi wyziewami—niekończace się pasma „hałd"... Górny Śląsk!



Po burzy.

Czas płynie szybko... Równie szybko, jak tam, na pierwszem piętrze królestwa pracy. — Wybrano dziś dużo czarnego kruszcu! Przeznaczenie, na które fantastyczne, skamieniałe paprocie czekały miljony lat — spełniło się...

Teraz trzeba wypełnić luki, powstałe w ścianach węglowych. Szlachetny pierwiastek zastąpi



W kopalni węgla.

Dla jego ludzi świat ma dwa piętra: świat, gdzie świeci słońce i Hades podziemi, gdzie świecą mętnym blaskiem lampy elektryczne i tysiące wesołych ogników karbidowych lampek.

Zbrojni w ciężkie kilofy i oskardy, zstępują w głąb ziemi, by zbudzić z wielowiekowej drzemki czarne, drogocenne zboża, pamiątki prastarych lasów, skamieniałe rośliny, które teraz dopiero dojrzały, aby nowym ludziom, młodszym o kilka epok geologicznych, dostarczyć paliwa...

Ludzie podziemnego królestwa wysypują się z dudniącego dźwigu, który uciekł z nimi od słońca, pędził w szalonem tempie kilkaset metrów w otchłań, aż wreszcie — zmęczony i drżący — usiadł ciężko na samem dnie. Przed nimi gąszcz korytarzy.

Czarno tu. Powiew chłodny wylatuje nagle z ciemnej gardzieli, przemyka się między idącymi i ginie w labiryncie. Wydaje się, że to duchy dawno pomarłych górników wróciły do miejsc, gdzie przeżyły swój cichy, chwalebny żywot...

Armja żołnierzy świętej Barbary, w hełmach ochronnych na głowach, maszeruje bez trwogi. Wiedzą, że wielkie kotły i piece, setki metrów ponad nimi, czekają z niecierpliwością na swój pokarm!

Już zawarczały wiertarki. W oporną skałę założono nabój dynamitu: rozległ się huk, jakby piorun nagle strzelił w czarną ścianę i skała legła pokonana u stóp człowieka!

Otworzyły się żyły ziemi i czarne bryły, niby skamieniałe krople krwi, popłynęły obficie. Praca „na filarze" wre!

Wkrótce chybotliwe „koleby" napełniono ciężkiemi głazami i małemi, lśniącemi okruchami. Elektryczna, groteskowa lokomotywka ciągnie długi sznur wózków do dźwigów, które zabiorą łup na powierzchnię.

Poniżej: Izba Skarbowa w Katowicach.





Pszczyna.

się — zwykłym piaskiem: zrobi się t. zw. „podsadzkę".

Aby zaś strop nie ugiął się pod ciężarem potężnych złóż skalnych, podpiera się go „stemplami", słupami drewnianemi. Ale zdarza się, że obliczenia zawodzą i węgiel „tąpie" — obsuwa się nagle. Często dochodzi do katastrofy i wtedy ludzie z krain słonecznych czytają: „górnicy zasypani w kopalni...".

A niebezpieczeństwo czyha tu na każdym kroku Śmierć stoi za każdym węglem, kryje się we wszystkich kątach czarnego państwa!

Czasem strąca chudem ramieniem wielki głaz na głowę górnika — tak ciężki, że biedaka nawet żelazny hełm nie ocali. Czasem wyzwala gaz, czający się w pobliżu, pozwala wedrzeć się „kurzawce", potopowi rzadkiego mułu, lub rozpęta powódź zaskórnej wody..

Niekiedy po zalewie nie opłaca się kopalni oczyszczać z wody, gdy nowy zalew grozi każdej chwili — i kapalnia zostaje skazana na zagładę.

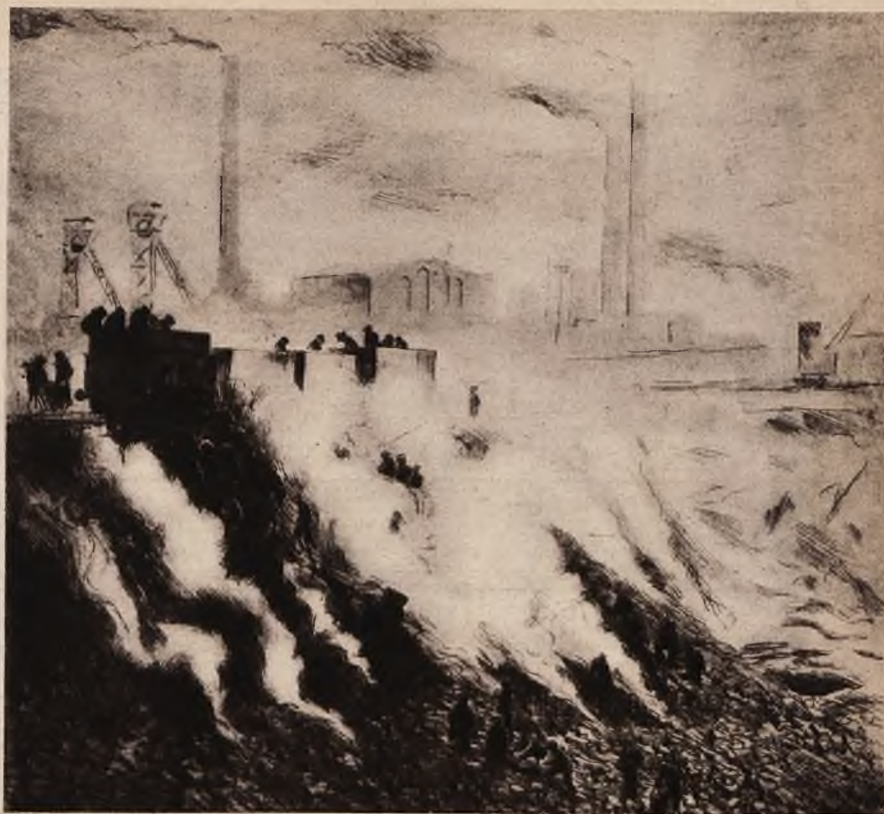
Straszniejszy może w skutkach jest pożar kopalni (często powstający od wzajemnego ucisku złóż). Wtedy ratunek jest niemal niemożliwy. Najczęściej, ocaliwszy pozostałych przy życiu „mieszkańców" podziemnego miasta, zamyka się dostęp powietrza do

kopalni i pozwala się pożarowi powoli dogasać: trwa to niekiedy całe lata.

Nie powinien więc dziwić nikogo kult górników dla ich patronki, św. Barbary: uciekają się pod jej potężną opiekę, ufni, że oddali od „ich kopalni" pożar, zalew, kurzawkę... „Szczęść Boże" — to ich zawołanie i pozdrowienie. Zapewne większość górników nie wie nawet, dlaczego św. Barbarę wybrano na ich patronkę. Łączy się to z pięknem podaniem o tej świętej, przed którą rozstąpiły się góry, gdy ścigał ją ojciec, poganin, rozgniewany wielce, że jego córka przyjęła wiarę chrześcijańską.

Działo się to w III wieku naszej ery. Górnictwo, a zwłaszcza górnictwo węglowe, nie sięga tak odległych czasów, jeśli chodzi o Polskę. Już od XI wieku wydobywano u nas sól, srebro, żelazo... O użyteczności węgla kamiennego nie miano pojęcia. Zwracano wprawdzie uwagę na „odkrywki", które samorzutnie odsłaniały swe czarne skarby, ale nietylko nie próbowano wydobywać węgla, lecz nawet otaczano te miejsca zabobonnym strachem. Uważano bowiem, że tędy czart wydostaje się z piekieł na ziemskie wycieczki: wychodząc, osmala brzegi wylotu i dlatego są takie czarne.... Drzewa było poddostatkiem i nie kłopotano się o inne paliwo. Zresztą, największy konsument węgla, przemysł, był zaledwie w zarodku.

Dopóki wnętrze ziemi uważano za „regalja", własność królewską, zajmowano się jako tako kopalniami, był nawet czas, że kopalnie srebra pod Olkuszem należały do największych na świecie. Lecz gdy w r. 1576 „pacta conventa" przyznały szlachcie prawo do wydobywania złóż kruszcowych, sprawa przyjęła obrót jak najgorszy: poprostu na długie lata przestano się nią interesować. Dopiero za czasów Stanisława Augusta, w poszukiwaniu dochodów, rozpoczęto tu i ówdzie wiercenia, które dały wynik znakomity. Jednak „ojcem górnictwa" można nazwać dopiero Staszica, który wiele energji poświęcił sprawie kopalni i górnictwa. A gdy po roku 1831 przejął kopalnie pod swój zarząd Bank Polski, znakomity rozwój górnictwa był już sprawą przesądzoną.



Hałda.



Na lewo: Zjazd do kopalni.

Tu należy podkreślić, że „przemysł górniczy" określa nietylko wydobywanie z ziemi węgla, czy rud, lecz także przeróbkę w hutach na różne gotowe do użytku metale. Hutnictwo łączy się więc bardzo ściśle z „górnictwem" w naszem pojęciu — z wydobywaniem z ziemi jej skarbów.

Wizyta w hucie dostarcza mocnych i niezapomnianych wrażeń: wydaje się, że znaleźliśmy się w prawdziwem piekle dantejskiem! Żar, tęcza barw, które rozsiewają rozpalone do czerwoności bloki stopów, potoki roztopionych metali — i ludzie, wyglądający, jak zjawy, którzy uwijają się w tem piekle zręcznie, sprawnie, nie bacząc, że jedno przechylenie się sunących u stropu wózków z tą lawą, grozi straszliwą śmiercią, spopieleniem!

Nie myślą o tem. Kochają swoją pracę i oddają się jej z zamiłowaniem. Są na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskiem rodziny, które od kilku pokoleń trudnią się górnictwem, lub hutnictwem.

Pamięć o niebezpieczeństwach ich zawodu wyraża się tylko w dość licznych zabobonach i legendach. Najpopularniejszą jest legenda o Skarbniku, duchu podziemi: kto go ujrzy, tego czeka niebawem śmierć — umrze „śmiercią górnika".

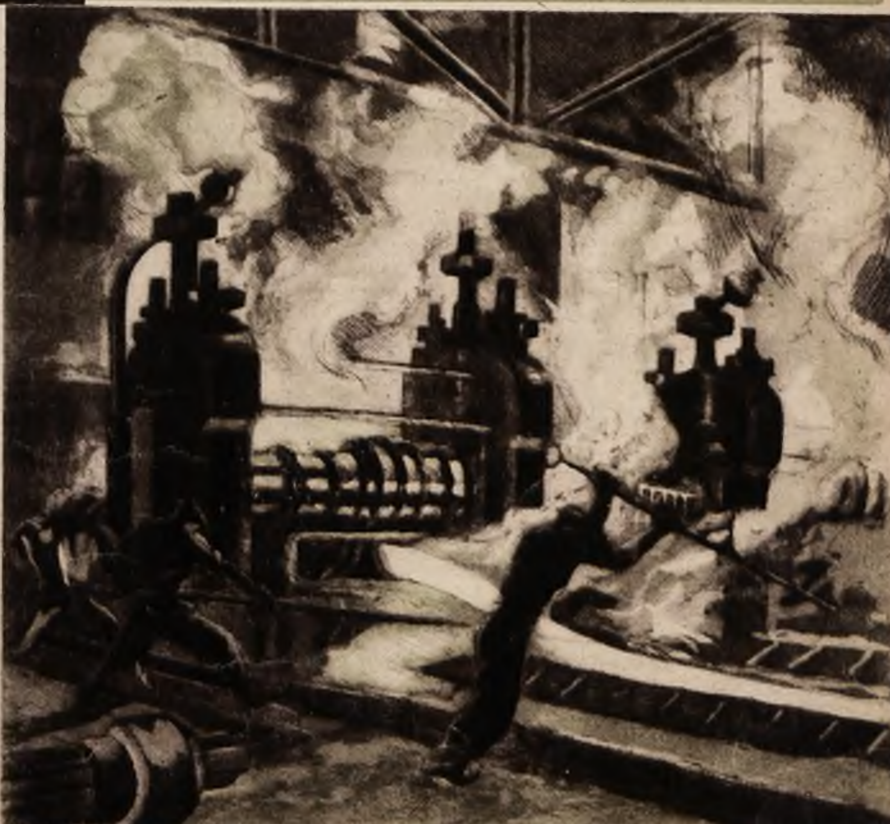
Na ten temat prowadzą często długie rozmowy, przytaczając zadziwiające, rzekomo autentyczne historje.

Ślązacy, to ludzie weseli, pogodni, lubiący się bawić. Ich pieśni i tańce są żywe, skrzące się humorem i zadzierzystością: niktby nie wywnioskował z ich zachowania, że ci ludzie pracują — w cieniu śmierci. Najhuczniejsze i najweselsze ich zabawy, to tradycyjne „Barbarki" w dniu 4 grudnia.

Ludzie Górnego Śląska: Szczęść Wam Boże! an.

WSZYSTKIE ILUSTRACJE Z TEKI SZTYCHÓW W. ZAKRZEWSKIEGO pt. „ŚLĄSK"

Poniżej: Walcownia szyn.



„MESSENGER-BOYS”

załatwiają wszystko...



Najmłodsi, ale też najruchliwsi wśród „Messenger-Boyów”.

Nie wystarcza przygotować wspaniałych uroczystości koronacyjnych i obmyśleć w szczegółach cały barwny ceremonjał, trzeba również, i to bodaj jest najtrudniejsze, zapewnić tysiącom przybywających gości nietylko mieszkanie w hotelach, wszelkie wygody, ale również postarać się, aby ta olbrzymia fala nowoprzybyłych doznała wszelkich ułatwień w technice dnia codziennego. Bo przecież nie chodzi tu o byle kogo: najbogatsi i najwybitniejsi ludzie z całego imperjum, jak również z Europy przyjadą na uroczystości do Londynu. Ale tak systematyczny i dobrze zorganizowany naród, jak Anglicy, łatwo stosunkowo przygotował olbrzymi aparat ludzki, mający funkcjonować podczas koronacji w wszelkich możliwych dziedzinach.

Z Anglji, kochającej wygodę i komfort, wyszły swego czasu organizacje chłopców do posyłek, „Messenger-Boys”, którzy zaopatrzeni w rowery i ubrani w figlarne czapeczki i mundurki, spełniają wszelkiego rodzaju polecenia. Boyowie ci przyjęli się w całej Europie i naprawdę należą do nieodzownych w dużem mieście instytucyj. Oczywiście, że dużą wagę przykłada się przy wyborze chłopców do ich uczciwości, orjentacji i pojętności, gdyż spełniają oni najrozmaitsze funkcje nieraz dosyć skomplikowane. Przygotowanie do przyszłej roli takiego boya odbywa się w jego biurze, przyczem musi być zorjentowany nietylko odnośnie rozkładu miasta, linij autobusowych i innych komunikacyj, ale również musi znać najważniejsze hotele, najwybitniejsze sklepy, czy bazary itd.

Bo czegóż nie żąda się od messenger-boya? Musi on, jeżeli się tego zażąda, opiekować się dziećmi, musi załatwiać bilety do teatru, odnosić paczki, ale musi również załatwiać trudniejsze sprawunki, zanieść ważną przesyłkę i porozumieć się z adresatem. We wszelkich dziedzinach i wszelkich porach dnia musi on odznaczać się świetną orjentacją, sprytem, a przedewszystkiem punktualnością.

Można sobie wyobrazić, ile pilnych spraw nastręczać się będzie dla tych małoletnich Merkurych podczas koronacji! Ileż ludzi, nie znających Londynu, i nie orjentujących się w przestrzeni tego miasta-olbrzyma, będzie potrzebowało pomocy młodych, zwinnych chłopców!

Poniżej: Boy jest częstym gościem w różnych hotelach: oto przyniósł paczkę z miasta.



Pierwszą cnotą boya jest przedewszystkiem to, że żadne zadanie nie wprowadza go w kłopot. Z metodyczną dokładnością, odpowiadającą jego dobrze „umeblowanej” głowie, zabiera się do każdego zadania. Z tych młodych chłopców rekrutować się będą w przyszłości liczni portjerzy hotelowi różnych kategoryj, pośrednicy w biurach biletów teatralnych i reprezentanci wielu innych zawodów. Nie należy przypuszczać, że skromne początki karjery życiowej messenger-boyów przesądza o ich dalszych losach. — Niejeden już portjer hotelowy zrobił większą karjerę, niż minister lub inny dygnitarz. Najlepszym przykładem jest choćby niedawno temu zmarły, sir Basile Zacharow, który przecież w loży portjera rozpoczął obserwować życie i otoczenie, aby potem wyciągnąć z tych psychologicznych doświadczeń odpowiednie wnioski. A zresztą boyowie stykają się z tak różnorodnemi sprawami, poznają tylu ludzi, że stanowi to dla nich świetne przedszkole do dalszej działalności.

Messenger-boys, to rodzaj małego wojska Zorganizowani na podkładzie ścisłej dyscypliny, zawsze gotowi do spełniania swych obowiązków, solidarni między sobą, spostrzegawczy — oddają się swej pracy z typowym dla Anglików optymizmem, poznając w swojej skromnej roli arkana życia olbrzymiego miasta i zbierając doświadczenia na przyszłość.

Podobnie jak w bajce o lwie i myszce, która królowi zwierząt oddała olbrzymie usługi, nadgryzając oka siatki, w którą się złapał, mali messenger-boys również ważne usługi oddadzą wielkim potentatom, którzy zjawią się na uroczystościach koronacyjnych.

j.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: ASSOCIATED PRESS.

Poniżej: Apel przed rozpoczęciem służby. „Dowódca” oddziału zwraca baczną uwagę, aby zewnętrzny wygląd chłopców był bez zarzutu.



Na prawo: Boy opiekuje się dziećmi, które z zaufaniem pozwalają się prowadzić swemu protektorowi...



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Od lewej: Znaczek grecki z Pallas Atene, wydany z okazji 100-lecia uniwersytetu w Atenach, oraz najnowszy znaczek francuski, wydany na cześć lotnika transatlantyckiego Mermoz.

Bardzo oryginalny znaczek wydano w Grecji. Jest to podobizna bogini Pallas Atene z włócznią i tarczą w ręku, a w głębi widać gmach uniwersytetu w Atenach, którego stulecie istnienia święci się obecnie. Wartość nominalna 8 drachm, kolor: bronzowy, format 29×41 mm. Wykonanie: bardzo precyzyjny staloryt przez Bradbury, Wilkinson Ltd w Londynie, ale i nasza „P. W. P. W." potrafiłaby napewno zdobyć się na coś równie efektownego. Czy wyjątkiem ma być jedyny dotąd znaczek wykonany w Polsce dla Grecji przed kilku laty? (Egzemplarz reprodukowany ze zbioru p. Jadwigi Paschalskiej).

Na cześć lotnika transatlantyckiego, który zginął w ub. roku wydała poczta francuska 2 bardzo piękne znaczki. Niewątpliwie tragiczny los załogi niemieckiego sterowca „Hindenburg" zostanie także uwieczniony w filatelistyce! Kto wie, jednak, czy w przyszłości będą jeszcze potrzebne marki dla listów, przesyłanych Zeppelinami?

Dwa znaczki francuskie za 30 c. i 3,5 fr (format poziomy, wzgl. pionowy) są dalszem uzupełnieniem serji na cześć sławnych osób. Zamieszczony przez nas znaczek (ze zbioru dyr. Tislovitza) przedstawia Mermoz'a, siedzącego w kabinie samolotu, a poprzez okno widać mapkę świata w rzucie Merkatora. Kolor c. zielony. Drugą sztukę ze serji postaramy się zareprodukować w najbliższym numerze.

PRZEGLĄD PRASY. Co pewien czas będziemy omawiać pisma zagraniczne poświęcone znaczkom. Polscy zbieracze zapewne nie znają tygodnika amerykańskiego „Stamps" (New York, N. Y. — 2, West 46th Street). Prenumerata dla zagranicy wynosi 1,50 dolara rocznie, co dla tygodnika objętości 34 stron jest wprost minimalną kwotą. Ale zato ile ogłoszeń zawiera każdy numer! Nie ma się wyobrażenia, jakich cen żądają firmy za znaczki amerykańskie i nowości; staro-europejskie marki nie cieszą się tam natomiast wielkiem powodzeniem. Czworobloki zbierane są w Ameryce z nieznaną u nas pieczołowitością a z drobnych szczegółów wymienimy, że w U. S. A. zamiast „nr." pisze się zawsze taki sam znak, jak „krzyżyk" w nutach, oraz to, że znaczki dopłatne, czy urzędowe, nie są numerowane osobno, lecz oznaczone cyframi od 500. 1000 itp. wzwyż. Ułatwia to sporządzenie listy braków. Charakter pisma taki, jak „Postwertzeichen Markt" i jedynie wyglądem zewnętrznym góruje zdecydowanie nad niemieckiem wydawnictwem.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPANU J. BRONOWICZOWI Z U.S.A. Dziękujemy serdecznie za nowe wiadomości. Nowe znaczki polskie prześlemy.

WPAN Mgr. BAŁOWSKI — KATOWICE. Będziemy reprodukować w następnym numerze.

WPAN DR. STANISŁAW NETGER, PŁOCK: Najwięcej adresów zbieraczy zamorskich znajdzie Pan w piśmie „Echo de la timbrologie" Amiens, Rue des Jacobins. W nast. numerze Asa podamy także nazwisko synka WPana w rubryce „adresy zbieraczy".

WPAN K. B. — KRAKÓW, ul. Siemiradzkiego. Listy, które Pan posiada, prawdopodobnie nie mają żadnej wartości filatelistycznej. Poszukiwane są jedynie listy bez znaczków z czasów „pre-filatelistycznych" t. j. z przed r. 1850, albo też poczt wojskowych (etapowych), wtedy gdy znaczków nie miano do dyspozycji. Drugi list posiada widocznie dlatego 5 pieczątek, że nadawca nie nakleił znaczka. Napis „Frankreich" na pieczątce (stemplu?) jest nieprawdopodobny, gdyż we Francji mogły być tylko stemple z napisem „France", a w Niemczech wykluczone jest użycie stempla z nazwą innego państwa. Zapewne Pan źle przeczytał.

SPROSTOWANIE: Jedno ze zamieszczonych przez nas „powiedzeń filatelistycznych" ma brzmieć: „Co się odwlecze, to w filatelistyce uciecze".



Wśród najmłodszych gwiazd:

AMARA WISZNIEWSKA

Pannę Tamarę Wiszniewską, bezsprzecznie naszą najmłodszą gwiazdkę filmu polskiego znają liczni kinomani z filmów: „Trędowata“ oraz „Ordynat Michorowski“. „Żywą“, to jest na scenie, oglądali ją natomiast tylko nieliczni bywalcy warszawskich scenek rewjowych, gdzie panna Tamara stawiała pierwsze swe kroki w zespole tanecznym Wysockiej, jako uczennica szkoły tej profesorki tańca. Tak bowiem los pokierował panną Tamarą, iż ledwo rozpoczęła karjerę tancerki, pochłonął ją nienasycony moloch filmu.

Pierwsza zaraz pytanie, jakie stawiam sympatycznej artystce jest obowiązkowe w naszej rubryce „najmłodszych gwiazd“:

— Jak „to“ się stało?

— A więc tak — rozpoczyna opowiadanie szczupła blondynka o niezwykle bujnej, falistej czuprynie i niepospolitej urodzie:

— Z zespołem Wysockiej tańczyłam pewnego dnia w Adrji. Przypadek zdarzył, że w lokalu znajdował się niemiecki reżyser Wegener, który nakręcał w Polsce film „August Mocny“ i poszukiwał właśnie aktorki do roli córki Fukiera. Nikt mu mnie nie wskazywał, niczyjej też nie miałam protekcji. Poprostu sam zobaczył mnie wśród tańczących koleżanek i niezwłocznie zaproponował engagement z wyjazdem do Berlina na dwa tygodnie na zdjęcia. Oczywiście zgodziłam się bez wahania, choć przyznam, że wówczas nie myślałam jeszcze o pracy w filmie...

— Więc debiut filmowy odrazu zagranicą! A jakże tam pani poszło? Czy były trudności z językiem niemieckim?

— Niech pan pomyśli, że po niemiecku mówię dość słabo, że nigdy w życiu nie śpiewałam i nie grałam ani do filmu, ani na scenie. Ponieważ nie kryłam się z brakiem wiadomości z tych wszystkich dziedzin, reżyser Wegener zażądał odemnie, abym do Berlina przyjechała na dwa tygodnie przed terminem zdjęć; czas ten miał być wykorzystany na moją naukę (prowadzoną na koszt wytwórni). Jak tego wymagano, przyjechałam na dwa tygodnie wcześniej. Zaraz pierwszego dnia odbyłam próbne zdjęcia i ku memu najwyższemu zdumieniu — co się okazało? — Oto zwolniono mnie z wszelkich lekcyj, twierdząc, że są zbyteczne! Wobec tego dwa tygodnie wolnego czasu poświęciłam na zwiedzanie miasta i podmiejskie wycieczki.

— Bardzo miły i zachęcający „pierwszy krok“ trudnej karjery filmowej — podchwytuję. — No i jak w rezultacie wszystko poszło?

— W najzupełniejszym porządku. Mówiłam w filmie i po polsku i po niemiecku, a nawet śpiewałam piosenkę. No i — wróciłam do Polski. Tu nakręciłam...

— Ta część pani dziejów jest mi znana — pozwalam sobie przerwać — grała pani już w dwóch filmach polskich: rolę Lucyny w „Trędowatej“ i tę samą postać w „Ordynacie Michorowskim“.

Muszę tu podkreślić — co zresztą zgodnie wypowiedziała opinja — iż zwłaszcza w roli Luci w „Ordynacie“, roli nadzwyczaj odpowiedniej dla Tamary Wiszniewskiej, uwydatnił się talent młodej artystki, jej głęboka ekspresja i uczuciowość. Wiszniewska zdobyła sobie tą rolą definitywnie film polski i zarezerwowała należne miejsce w filmach wytwórni zagranicznych, które — jak wiemy — już teraz prowadzą z młodą gwiazdą rozmowy na temat jej angagement na stałe.

— A co „będziemy grali“ w najbliższym czasie?

— Zostanie nakręcony ciekawy film: „Dziewczęta z Nowolipek“ według powieści Gojawiczyńskiej, w którym role czterech dziewcząt, bohaterek filmu, powierzono: Barszczewskiej, Andrzejewskiej, Jaraczównie i mnie. Po tej dziewczęcej „czwórce hultajskiej“ przyjdzie kolej na „Trójkę hultajską“, w której również mam już zarezerwowaną rolę...

Gdy już w ten sposób omówiliśmy kwestje filmowe, pragnę przejść w swym wywiadzie do tematów bardziej osobistych i „prywatnych“.

— Może opowie pani teraz coś ciekawego ze swego życia prywatnego? Może jakiś fragment z lat dziecinnych...

— No właśnie panu opowiedziałam — odpowiada panna Tamara.

— Jakto? — nie rozumiem...

— Właśnie opowiedziałam panu całą swoją młodość, a właściwie lata dziecięce. Przecież ja mam w chwili obecnej siedemnaście lat, jeszcze tak dużo brakuje mi do pełnoletności! Czy więc moje opowiadanie o tem, co się działo rok, czy dwa lata temu, nie jest epizodem mych lat dziecięcych?

— No tak, ale czy ma pani naprawdę dopiero siedemnaście lat? takie autentyczne? — pytam niedyskretnie.

— Ależ tak! Najautentyczniejsze — śmieje się panna Tamara. Mogę panu pokazać swą metrykę!

Patrzą na mnie filuternie piękne ciemne oczy, które wyraziście odbijają od złocistego tła blond włosów...

— Jeśli już pozwala mi pani na takie niedyskrecje — mówię — to może poproszę o jedno jeszcze wyjaśnienie: jaki właściwie kolor mają pani oczy? Patrzę bowiem na nie około pół godziny i ani rusz nie mogę upewnić się co do ich barwy. No, a jeśli już przedstawiam panią Czytelnikom „Asa“, muszę przecież to wiedzieć...

— To będzie bardzo trudne — żartuje artystka — nikt nigdy nie wie, jakie są moje oczy. Zdaje się, że są one ciemnoszare, chociaż często posiadają odcień wyraźnie zielony. W nocy natomiast są czarne, jak węgiel. Może pan sobie wyobrazić, jaki kłopot miał z tem... urzędnik, który wypisywał mój dowód osobisty. W rezultacie napisał mi w dowodzie — no, jak pan myśli?

— Niezbadane są wyroki... biurokracji!

— Napisał... oczy piwne! Piwne oczy mam więc „urzędowo“, a zielone, szare i czarne „na codzień“. Musi się pan z tem pogodzić... — kończy wywiad Tamara Wiszniewska.

Romil.



Tamara Wiszniewska zadebiutowała na ekranie w filmie »August Mocny«.

HAŃBIĄCY CZYN PORUCZNIKA HERBERTA

JULJUSZ MEISSNER

NOWELA

Służba oficera inspekcyjnego garnizonu stanowczo nie należy do przyjemności. Cóż dopiero, gdy taką służbę pełni się z 31-go grudnia na 1-szy stycznia. Ale rozkaz jest rozkazem i trzeba go wykonać. Inna sprawa, że byłem w okropnym humorze, przewidując na przeciąg dwudziestu czterech godzin wściekłe nudy, zamiast wesoło spędzonego wieczoru i nocy sylwestrowej, jak każe tradycja.

Na odwach garnizonowy, gdzie mieści się pokój oficera inspekcyjnego odprowadzał mnie w południe jeden z moich młodych przyjaciół, podporucznik Z.

— Nie mając służby, też nie spałbyś tej nocy — usiłował mnie pocieszyć. — Zresztą kapitanom świetnie się powodzi: służba w garnizonie wypada wam raz na cztery miesiące i spokój. A my — służba w pułku, dyżury w koszarach, ronty...

— A propos — przerwałem. — Kto jest dzisiaj oficerem rontowym?

— Porucznik Herbert. Wiesz ten....

Otóż właśnie, że nie wiedziałem, choć byłem w pułku prawie od roku i choć nazwisko nie było mi obce.

Nazwisko... Jest ich już tyle w lotnictwie! (No, chwała Bogu, naturalnie, że jest ich tak dużo). Nikt z nas się tem przecież nie martwi i to nie żal, tylko sentymnet — sentyment do własnej przeszłości lotniczej wywywołuje westchnienie, gdy stary wyga powietrzny z zielonym wiankiem [1]) zawadzi myślami o te czasy, w których znało się na pamięć kilkadziesiąt nazwisk, stanowiących komplet personelu latającego.

Później znało się jeszcze nazwiska wybitniejszych pilotów i obserwatorów i mówiło się o takim, czy innym lotniku z młodego (wówczas) narybku: — Ten i ten ma już w lotnictwie nazwisko.

Jeszcze później zaczęły się wykruszać pierwsze nasze kadry, natomiast ilość nowych nazwisk rosła.

Dziś — dziś nazwisk tych jest tyle, że nie sposób je zapamiętać. Ale nazwisko Herberta należało do dawnych, z okresu pierwszych lat powojennych.

Dopiero teraz mnie to uderzyło. Pomyślałem, że nie mógł być jakąś szczególnie wybitną jednostką, bo pamiętałbym, jak wyglada. Z drugiej strony, będąc już prawie rok w pułku, dziwnym zbiegiem okoliczności nie miałem okazji nawet z nim porozmawiać. Z pewnością widywałem go od czasu do czasu, lecz wśród stu dwudziestu oficerów, z których poznałem bliżej zaledwie połowę, trudno mi było wyłowić jego sylwetkę.

— Który to jest Herbert? — zapytałem.

— Nie wiesz? — zdziwił się podporucznik. — No, tak; mogłeś go nie zauważyć. On teraz unika wszystkich kolegów. A ty przyszedłeś do pułku już po tej historji.

Zniecierpliwiły mnie te niedomówienia.

— Odpowiedzże po ludzku — warknąłem. O co chodzi?

Podporucznik Z. spojrzał na mnie z ukosa i przybierając minę, która — jak mi się zdaje — miała wyrazić całą jego pogardę dla czynu Herberta, powiedział dobitnie:

— Wyskoczył z maszyny, zostawiając obserwatora bez spadochronu.

Poczem dodał:

— Leciał z nim podporucznik Nowacki. Zginął. To było w zeszłym roku w zimie. Herbert został zawieszony na rok w lataniu. Teraz jest oficerem rachunkowym w warsztatach parku lotniczego.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad sprawą i osobą porucznika Herberta. Trzeba było objąć służbę od mego poprzednika, jakiegoś kapitana artylerji, który oddawał mi pedantycznie i sumiennie klucze, instrukcje, inwentarz odwachu i rozkazy komendy garnizonu: trzeba było zameldować się u komendanta placu, odprawić podoficera inspekcyjnego i komendanta warty; wydać pocztę, sprawdzić zamknięcia biur i lokali służbowych, obejść kilka ważniejszych ulic miasta, wstąpić na dworzec kolejowy, skontrolować porządek i dyscyplinę. Wreszcie trzeba było porozumieć się telefonicznie z oficerem rontowym i powiedzieć mu, o której ma kontrolować warty garnizonowe.

Głos Herberta w słuchawce telefonicznej był najzwyklejszy, przeciętny. Nie oczekiwałem zresztą pod tym względem żadnej rewelacyj: stwierdziłem tylko, że nie wyróżnia się niczem szczególnem i że nic mi nie przypomina.

Poleciłem Herbertowi sprawdzić czujność wart telefonicznie o godzinie 24-ej i o 2-ej.

— Gdzie pan mieszka? — zapytałem następnie.

Odpowiedział — zapewne nieco zdziwiony na co mi to potrzebne — że na lotnisku.

— Niech pan zatem weźmie motocykl i o godzinie pół do trzeciej pojedzie na fort Zduny. Tam pójdzie pan na ront osobiście.

— Rozkaz, panie kapitanie — powiedział krótko i teraz wydało mi się, że w jego głosie wyczuwam jakiś odcień goryczy lub może smutku.

Fort Zduny leży po przeciwnej stronie miasta, najdalej od lotniska. Wiedziałem, że ronty na nim należały do najbardziej przykrych, bo trzeba tam było łazić po błocie i wertepach dobrą godzinę, zanim obeszło się wszystkie posterunki. Mogło to mieć pewien związek z owym nieuchwytnym tonem odpowiedzi porucznika Herberta. Pomyślałem, że uważa mój rozkaz za specjalnie dokuczliwy i to z powodu tej historji z podporucznikiem Nowackim. Musiał zapewne wiele wycierpieć od czasu tego wypadku. Niewątpliwie był przeczulony.

Uśmiechnąłem się: wcale nie miałem zamiaru go dręczyć. Chodziło mi tylko o to, żeby go zobaczyć.

— Wracając z rontu, wstąpi pan do mnie — powiedziałem. — Zda mi pan raport ustnie.

— Rozkaz — powtórzył i znów w tonie jego odpowiedzi wyczułem jakby wahanie.

Odłożyłem słuchawkę i zamyśliłem się. Ta cała sprawa musiała kiedyś otrzeć się przecież o mnie.

Powoli przypomniałem ją sobie. Tak przed rokiem czytałem sprawozdanie Komisji Wypadków Lotniczych o katastrofie, w której zginął młody obserwator, podporucznik Nowacki.

Nocny przelot bombardierski. Mgła. Defekt silnika. Strzelec samolotowy i pilot wyskoczyli. Nawigator, podporucznik Nowacki został w maszynie, ponieważ jego spadochron wypadł, strącony z pokładu przez pilota podczas skoku. Nowackiego znaleziono martwego za sterem w gondoli rozbitej maszyny. Prawdpodobnie — pozostawiony samemu sobie — usiłował ratować się, lądując naoślep. Strzelec nie umiał nic powiedzieć o zachowaniu się tamtych dwóch, ponieważ skakał pierwszy na rozkaz obserwatora.

Pilot stanął przed sądem, oskarżony o pozostawienie członka załogi w samolocie, który opuścił. Tłumaczył się, że nie wiedział, iż obserwator nie wyskoczył. Prócz tego opowiedział sądowi jakąś niezręcznie skleconą bajkę, która miała go usprawiedliwić, a której sąd nie dał wiary.

Ponieważ miał dobrą opinję i przesłużył w lotnictwie dziesięć czy dwanaście lat, oraz ponieważ brakło dostatecznych dowodów jego złej woli, ukarano go tylko za lekkomyślny, przedwczesny skok na spadochronie, podczas gdy istniała możliwość doprowadzenia samolotu do lądowania. Ukarano go rocznym zawieszeniem w wykonywaniu lotów, nie skreślając z listy personelu latającego.

— Brzydka sprawa — pomyślałem. — Wygląda na to, że miał potężnego stracha i że ten strach okazał się mocniejszy, niż poczucie solidarności załogi w obliczu grożącego niebezpieczeństwa. A potem przed sądem łgało się na potęgę.

Zacząłem żałować, że kazałem Herbertowi przyjechać. Musiał to być nędzny typ, skoro nie zaryzykował bądź lądowania na samolocie z pozbawionym spadochronu obserwatorem, bądź też skoku razem z nim na spadochronie własnym.

Cóż mógł mi powiedzieć? Zapewne nic, bo chyba nie powtarzałby kłamstw, którymi bronił się na rozprawie.

Koło pierwszej położyłem się na trzeszczącej kanapie. To już był nowy rok.

— Podle się zaczyna — pomyślałem jeszcze i zasnąłem.

Obudziło mnie stukanie do drzwi.

— Wejść — powiedziałem, nie podnosząc się i w tej chwili przypomniałem sobie o Herbercie.

To był właśnie on. Wszedł i zatrzymał się przy drzwiach.

Wystarczył mi jeden rzut oka na jego charakterystyczną postać, aby upewnić się, że widywałem go nieraz przed laty i że nie spotkałem go ani razu w pułku.

Był wysoki i barczysty, ale na tę jego barczystość składały się tylko potężne kości i mięśnie, z zupełnem wyłączeniem tłuszczu. Musiał być bardzo silny. Ruchy powolne, ostrożne, jakby się obawiał, że przy lada sposobności może uszkodzić który z otaczających go przedmiotów.

Mówił podobnie, jak się ruszał: z zastanowieniem, bez pośpiechu, wyszukując wyrazy, jakby mu ich stale brakowało.

Czoło miał szerokie, włosy ciemne, nieco już przerzedzone i srebrzące się na skro-

1) „Zielony wianek" — przy odznace lotniczej, do której mają prawo wyłącznie lotnicy, którzy odbyli pewną ilość lotów bojowych podczas wojny.

niach, zaczesane z niedbałym, nierównym przedziałem z lewej strony. Brwi grube, czarne, zrośnięte nad dużym nosem. Oczy natomiast — jasne, piwne, czy może orzechowe, ale jasne i naprzekór wyrazowi twarzy, naprzekór zaciętym gorzkim ustom — wesołe. Kwadratowe, mocne szczęki gładko wygolone, o błękitnawej bladej skórze i policzki lekko wklęsłe, chude, z dwiema bruzdami od nosa do kątów ust.

Zameldował mi, że wszystko w porządku, poczem dopiero przyjął moją rękę, podaną mu na powitanie. Ten gest też był dla niego charakterystyczny: wziął moją dłoń w swoją ogromną łapę delikatnie i lekko, następnie zaś, miarkując siłę, aby mi nie sprawić bólu, ściskał ją wolno, coraz mocniej w ciągu paru sekund, by wreszcie puścić ją nagle. Czułem, że gdyby zechciał, mógłby mi zmiażdżyć palce.

— Szczęśliwego nowego roku, panie kapitanie — powiedział poważnie, uśmiechając się tylko oczami.

Podobał mi się. Nie umiałbym powiedzieć, dlaczego. To było ogólne tak zwane „dobre wrażenie", które zależy od tylu drobnych szczegółów sposobu bycia, wyglądu, głosu — czy ja wiem zresztą czego? — że nie sposób tego określić.

Wiele z tych drobiazgów musiało pokrywać się ze szczegółami postaci gentlemana, która istnieje w wyobraźni każdego z nas jako postać idealna, inna zresztą dla każdego, kto ją sobie wyobraża. Otóż mój ideał gentlemana w wielu szczegółach zapewne podobny był do porucznika Herberta, bo tak właśnie o Herbercie pomyślałem: gentleman, a skojarzenie z katastrofą Nowackiego zjawiło się w moim umyśle dopiero jako drugie.

Ten pierwszy odruch, czy też prąd sympatji zadecydował o dalszej naszej rozmowie.

Ponieważ to nie należy do rzeczy, nie będę tu jej powtarzał od początku i zaniecham również wyjaśnień, jak doszło do tego, że porucznik Herbert opowiedział mi w godzinę później o owym locie, w którym zginął jego obserwator. Nie zamierzam też powtarzać dosłownie tego, co mi powiedział, a to dlatego, że odrazu uprzedził mnie, iż nie potrafi plastycznie i barwnie opisywać wypadków, w których brał udział. (Nie umiał rzeczywiście). Natomiast na zasadzie prawa, które mi daje rola autora i pisarza, przedstawię czytelnikom owe wypadki w mojej relacji, to jest tak, jak sam je ujrzałem i odczułem podczas rozmowy z Herbertem.

Aby jednak utrzymać konstrukcję całości tej opowieści, relację moją wkładam w usta Herberta. Niech on mówi o tem, co się stało i jak się stało.

— Kiedy stary, wytrawny pilot po kilkugodzinnej walce z burzą, z deszczem, z huraganowym wiatrem, lecąc tuż nad ziemią pod nawisem niskich, czarnych chmur, zgrzytających piorunami, zmagając się z maszyną, która miota się w wartkich prądach powietrza i nurza się w jego falach — kiedy stary pilot w tych warunkach doleci wreszcie do celu, to na zapytanie o pogodę na trasie odpowie tylko: — Jest kiepsko. Miejscami nawet bardzo nieprzyjemnie. I to jest odpowiedź, z której doświadczeni ludzie powietrza, nacechowani tą samą powściągliwością, mogą wywnioskować o istocie niebezpieczeństw, o skali przeżyć, o napięciu nerwów i o trudach walki, które były udziałem jednego z nich w tym locie.

Laik pomyśli, że widocznie lot nie sprawił załodze przyjemności, lecz nawet mu nie przyjdzie do głowy, że życiu pilota groziło niebezpieczeństwo i że ten człowiek wyszedł cało i uratował samolot dzięki osobistej odwadze, zimnej krwi, sile moralnej i ambicji.

Podobnie, jak laik, zareaguje młody, niedoświadczony jeszcze pilot lub obserwator, który niewiele burz, mgieł, lotów wśród zamieci śnieżnych i wśród ciemnych nocy przebył. Który jeszcze wcale śmierci nie patrzył w oczy.

Zato on właśnie o pierwszych swoich przygodach, o pierwszych walkach o własne życie i o całość maszyny opowie wam dużo i z patosem, nie ograniczając się do lapidarnego „było kiepsko, a miejscami nawet bardzo nieprzyjemnie". Dopiero później przyswoi sobie powściągliwość starszych. Później — gdy już zacznie mieć w lotnictwie nazwisko.

Porucznik Herbert nie był żółtodziobem i — jak sam zaznaczył — nie umiał plastycznie opisywać wypadków. Ci, którzy go słuchali, albo raczej przesłuchiwali, to byli sędziowie i członkowie komisji — a więc ludzie z za biurka, nie z za steru samolotu...

— Czy pan wie, panie kapitanie, kto to był Nowacki? — zapytał, siedząc już na trzeszczącej garnizonowej kanapie i grzebiąc w fajce, która gasła mu co chwila.

Nie wiedziałem, naturalnie, nic poza tem, że Nowacki był młodym obserwatorem. Nie odpowiedziałem jednak odrazu, uważając to pytanie raczej za retoryczne.

Ale ten duży sumienny pilot nie stawiał retorycznych pytań i jeśli pytał, to dlatego, aby się dowiedzieć. Patrzył mi w oczy, oparłszy łokcie na szeroko rozstawionych kolanach i potrząsał wyczekująco swoją fajką.

— Nie znałem go chyba — powiedziałem wreszcie.

— Ja znałem go dobrze — oświadczył. I pan zna zpewnością ten typ młodych zapaleńców, z których każdy idzie do lotnictwa poto, żeby zostać pilotem. Pilotem my śliwskim, oczywiście takim, „który lata sam"; który ma samolot wyłącznie dla siebie i sam decyduje o każdem jego drgnieniu. Tak się im przynajmniej zdaje, tym wszystkim podchorążakom i podporucznikom; pan wie..

Tym razem potwierdziłem natychmiast. Herbert zaś, zapaliwszy znów fajkę, mówił dalej, powołując się raz po raz na moją znajomość tych spraw, jakby chciał podkreślić, że powinien zostać zrozumiany całkowicie i bez żadnych wątpliwości.

— Kiedy mu powiedzieli w Instytucie Badań Lotniczo-Lekarskich, że jest zdolny do służby w powietrzu tylko jako obserwator, był to dla niego prawdziwy cios. Cóż pan chce: chłopak wymarzył sobie karjerę Bajana, czy Orlińskiego, pokonał być może wiele trudności, aby dostać się do lotnictwa i naraz dowiaduje się, że nigdy nie zostanie pilotem. Że nie tknie sterowego drążka; nie siądzie za sterem, twarzą w twarz z pulsującą strzałkami tablicą zegarów. Że inni będą go wozić na pokładzie maszyny, którą sam mógłby kierować, trzymając w ręku 500 koni mocy i 450 kilometrów na godzinę szybkości — gdyby nie kilka punktów różnicy w ciśnieniu krwi albo w ostrości słuchu. Że będzie latał z pilotami, którzy — być może — oddają się swemu zawodowi bez sentymentu, bez zapału, bez zamiłowania nawet, podczas gdy on... Zgodzi się pan, że to jest dramat dla takiego chłopca.

Latał ze mną dosyć dużo i nieraz widziałem, jak z zazdrością patrzył na mnie, kiedy manewrowałem sterami i gazem.

Zapytałem, dlaczego nie postara się o przydział do eskadry linjowej, gdzie mógłby przecież prowadzić maszyny drugim sterem pod nadzorem pilotów, jak to robią dla przyjemności wszyscy młodzi obserwatorzy. Odpowiedział mi, że nie znajduje w tem żadnej przyjemności i że po każdym takim locie nanowo poddaje się żalowi i przygnębieniu z powodu swego nieszczęścia, jak to nazywał.

Raz prosił mnie, żebym mu pozwolił w powietrzu zająć bodaj na chwilę miejsce pilota. (Jak pan wie, w naszych starych samolotach bombardujących nie było podwójnych sterów). Utrzymywał, że da sobie radę z maszyną, podobnie jak sądzą wszyscy ci obserwatorzy, którzy tego nie próbowali na ciężkich samolotach.

Musiałem mu odmówić.

No, i wreszcie nastąpił ten przelot.

To było właśnie 13 miesięcy temu, w nocy z 30-go listopada na 1-szy grudnia. Wystartowaliśmy na mojej starej FG-32 o godzinie dwudziestej pierwszej w kierunku poligonu odległego o 250 kilometrów. Chodziło nie o bombardowanie, tylko o przelot nawigacyjny: nad poligonem mieliśmy zmienić kurs i dolecieć do lotniska, położonego o 60 kilometrów na południowy wschód.

Prócz mnie i Nowackiego leciał sierżant Morawa, strzelec samolotowy.

Noc była ciemna, bezksiężycowa, pochmurna, ale pułap mieliśmy na tysiąc dwustu metrach. Przez pierwszą godzinę wszystko szło dobrze. Silniki, choć stare graty, pracowały normalnie. Nowacki po starcie podał mi kurs 205° i — nieco później — poprawkę derywacyjną o 15° na wschód. Mieliśmy w górze wiatr lewy czołowy, pewnie ze 40 kilometrów na godzinę; na dole według komunikatu meteorologicznego wiał lekki Nord West.

Wkrótce po godzinie 22-ej zauważyliśmy obaj z Nowackim, że nad lasami zaczyna pełzać mgła. Z początku wzięliśmy jej strzępy i niewielkie płachcie za polany leśne. Ale później zgęstniała i rozpostarła się nad ziemią szeroko, gdzieniegdzie tylko odsłaniając wyniosłości i wzgórza, lub rudziejąc matowemi łunami większych ludzkich osiedli. Wreszcie stała się gruba i jednolita, jak brudna pierzyna.

Nie przejmowaliśmy się tem wcale. Z komunikatu meteorologicznego wiedzieliśmy, że nad lotniskiem mgły nie będzie. Zresztą mieliśmy benzyny jeszcze na pięć godzin i w ostateczności moglibyśmy wrócić nawet do macierzystego portu.

Tylko, że właśnie wtedy zawiodły silniki i to obydwa.

Mieliśmy jakieś 800, może 900 metrów pod sobą, kiedy zatrzęsło maszyną potężnie, jakby się ułamało jedno ramię śmigła. Jednocześnie wykręciło nami w prawo tak silnie, że ledwie mi starczyło steru do utrzymania kierunku.

Spojrzałem na liczniki obrotów i stwierdziłem, że to prawy silnik „nawala". Zmniejszyłem obroty obydwu i wtedy z pod tablicy rozdzielczej po drżącym pokładzie i po moich stopach zaczęła płynąć wielka leniwa struga czarnej, gorącej oliwy. Strzałka manometru po lewej stronie zawahała się i opadła szybko do zera.

Pan zna, panie kapitanie, to uczucie, które ogarnia pilota w podobnych sytuacjach: to podniecenie, które przecież nie jest strachem. Myśli się wówczas intensywnie i szybko, mając świadomość, że oto skończyło się nagle coś, co działo się powoli, a zaczyna się akcja prędka, wymagająca natychmiastowego działania i krótkiego, lecz dużego wysiłku woli, nerwów i mięśni.

Jedyna obawą, której doznajemy w takich wypadkach, jest obawa o resztę załogi: czy zrozumieją odrazu, o co chodzi, bo przecież niema czasu, by im to wytłumaczyć; czy nie stracą głowy i nie utrudnią przez to sytuacji; czy dadzą sobie sami radę, bo na pomoc może być zapóźno.

Z Nowackim nie miałem kłopotu pod tym względem. Zanim zdołałem go zapytać, już sam mi powiedział, że do lotniska mamy 70 kilometrów i że według jego obliczeń właśnie wchodzimy nad poligon.

Jak pan widzi, sytuacja nie była groźna, jeśli chodzi o porzucenie samolotu i skok na spadochronach. Wysokość mieliśmy dość dużą, a upadek maszyny na poligonie nikomu nie mógł wyrządzić szkody. Natomiast ani o lądowaniu naoślep we mgle, ani o tem, abyśmy mogli dociągnąć do lotniska nie można było nawet myśleć.

(Ciąg dalszy na str. 12-ej).

WIOSENNY STRÓJ GADÓW

Gromada gadów jest stosunkowo niezbyt wielką grupą zwierząt, mimo to jednak dopiero stosunkowo niedawno rozpoczęto bliżej zajmować się ich życiem.

Na późne zajęcie się tą gromadą zwierząt wpłynęło w niemałej mierze i uprzedzenie, datujące się od czasów bardzo dawnych. Gadom przypisywano rozmaite, przeważnie szkodliwe, właściwości, a w średniowieczu pełno było fantastycznych wiadomości o bajecznych potworach, żyjących gdzieś w niedostępnych miejscach.

Dopiero poznanie wszystkich gatunków krajowych a także i żyjących w obcych krajach i podpatrzenie ich życia ostatecznie przekonało nas, że groźne smoki i niesamowite bazyliszki żyły tylko w wyobraźni naszych przodków.

Skóra gadów składa się z dwóch warstw, tj. ze skóry właściwej i naskórka, tworzącego część powierzchniową. U niektórych gadów skóra grubieje i rogowacieje, jak np. u krokodyli lub kostnieje, jak w pokrywie żółwia. Różne gatunki wężów i jaszczurek, a przedewszystkiem krokodyle dostarczają człowiekowi cennej skóry, używanej dla celów ozdobnych i galanteryjnych. Moda, która od czasu do czasu przynosiła większe zapotrzebowanie skór niektórych gatunków jaszczurek, spowodowała w niektórych okolicach ich wytępienie. Niekiedy rzadsze gatunki musiano nawet otoczyć opieką przed zbytnią bezwzględnością przedsiębiorcy, by nie uległy one zupełnej zagładzie. W ostatnich też czasach utworzono w wielu miejscach zwłaszcza w Ameryce hodowlane fermy z krokodylami, których skóra cieszy się stałem niesłabnącem powodzeniem i popytem.

Gady odznaczają się ciekawą własnością zrzucania co pewien okres czasu swej powłoki, co najlepiej zaobserwować można u węży. Skóra węży jest bardzo rozciągliwa i doskonale rozszerza się. Inaczej natomiast ma się rzecz z powierzchniowym naskórkiem. W krótkim czasie staje się on za ciasny i musi być zastąpiony nowym obszerniejszym. Węże muszą zmieniać swą naskórkową powłokę, t. j. linieć się. Wylinka taka odbywa się przeważnie trzy do pięciu razy w roku. Powłoka skóry schodzi naraz w całości, jak pończocha z nogi, a nie kawałkami, jak to się dzieje u jaszczurek.

Załączone fotografje przedstawiają nam momenty zrzucania starej powierzchniowej naskórkowej powłoki przez najpospolitszego naszego przedstawiciela świata wężów, t. j. zaskrońca.

Zaskroniec, nazywany nieraz także zaskrońcem „żabiarzem" lub „pławiaczem", posiada zwykle długość od 50 cm do 1 metra, chociaż nieraz zdarzają się osobniki, dochodzące do półtora metra długości, a nawet 1,85 m. Barwa ciała tego pospolitego u nas węża jest stalowo-popielata z rzędami czarnych plamek, ciągnących się wzdłuż grzbietu, tułów z boku jest nakrapiany białawo, brzuch jest zupełnie czarny. Charakterystyczną cechą, która ten gatunek węża pozwala w łatwy sposób odróżnić od jego krewniaków, są plamy umieszczone nad oczyma w tyle głowy: u samic, a także u młodych są one białe, u samców natomiast mają one barwę żółtą i są obrzeżone czarną półksiężycową obwódką. U niektórych gatunków południowych barwa żółta przechodzi w czerwonawo-złocistą, co dało powód do licznych dawniejszych baśni o złotych koronach, noszonych przez węże.

Zaskroniec przebywa najchętniej nad brzegami strumieni, rzek, stawów i bagnisk oraz wilgotnych lasów, gdzie najłatwiej może znaleźć dla siebie pożywienie. Najczęstszem pożywieniem zaskrońca są żyjące w wodach i nad wodami żaby i traszki. Chwyta je zręcznie, zwykle od strony głowy, a zdobycz rzadko tylko może uratować się ucieczką, ponieważ zarówno na lądzie, jak i w wodzie porusza się bardzo szybko i zręcznie. Traszki i małe żabki połyka z łatwością, większe żaby połyka wolno, układając je w potężnie rozszerzonej paszczy w ten sposób, by najłatwiej mógł je przełknąć. Poluje także na ryby, przyczem napada na nie z reguły od dołu, chwytając je za brzuch i wynosząc następnie na brzeg, gdzie dopiero je połyka. Zdobyczy swej zaskroniec nie dusi, jak to nieraz czynią inne węże, lecz połyka ją żywą.

Ze snu zimowego budzi się zaskroniec na wiosnę, w ciepłych latach już w kwietniu, a czasami nawet z końcem marca. — Pierwsze zrzucenie starej skóry odbywa się w maju, druga wylinka zwykle następuje z początkiem czerwca, trzecia z końcem czerwca lub z początkiem lipca, ponadto zdarzają się jeszcze dwie wylinki — w sierpniu i we wrześniu.

Przed wylinką stary naskórek obumiera i pomiędzy nim a nowym zaopatrzonym w delikatne włoski wytwarza się warstewka.

(Dokończenie na str. 31-ej).



Pierwsze stadjum zrzucania przez zaskrońca starej powłoki: skóra z głowy już została zsunięta.



A oto zaskroniec w nowej szacie, obok zaś jego stara skóra.



Oto druga faza zrzucania skóry: pozostała stara pokrywa z głowy z otworami na oczy.



Zaskroniec pozbył się już większej części swej starej skóry.



Na zdjęciu widoczna skóra zsunięta z głowy





Wąż przy zesuwaniu skóry pomaga sobie w ten sposób, że przesuwa ciało po szorstkiej powierzchni.

Powiedziałem do Nowackiego: — Skaczcie obaj. Ja zaraz za wami. Odnajdziemy się na ziemi. Idźcie w kierunku południowym: tam spadnie samolot.

Nowacki wahał się przez sekundę i wydało mi się, że jest bardzo wzburzony, ale nic nie odpowiedział. Widziałem, jak szedł do kabiny nawigacyjnej, poczułem, że otwierają się zewnętrzne drzwi i że nagle samolot robi się lżejszy w ogonie. Byłem pewien, że obaj wyskoczyli.

Wtedy jeszcze raz spróbowałem dodać gazu. Ponieważ jednak prawy silnik trząsł niemożliwie, lewy zaś mógł się zatrzeć lada chwila z braku smaru, porzuciłem ostatecznie wszelką myśl o ratowaniu samolotu.

Wyłączyłem iskrowniki. Zamknąłem dopływ benzyny. Zamocowałem drążek sterowy, aby maszyna nie straciła równowagi, gdy będę przechodził ku tyłowi i aby poszła wdół zaraz, gdy skoczę. Rozumie pan: obawiałem się, że zniesie ją z nad poligonu zanim nastąpi zderzenie z ziemią, a nie chciałem do tego dopuścić.

Naturalnie wszystkie te czynności zajęły mi o wiele mniej czasu, niż opowiadanie o nich, chociaż wcale się nie śpieszyłem nadmiernie. miałem, widzi pan, jeszcze ze 700 metrów, a może nawet więcej.

Trochę się bałem, żeby mi maszyna nie zrobiła jakiegoś kawału w ostatniej chwili, gdy będę wstawał od sterów i przechodził przez ciasne drzwiczki do kabiny nawigacyjnej. Mogła przecież pójść w korkociąg, choć to mało prawdopodobne i wtedy trudnoby mi było dotrzeć do wyjścia.

Nic podobnego zresztą nie nastąpiło. Sunęła skośnie wdół i przy ostatnim rzucie oka na wysokościomierz stwierdziłem, że obniżyła się o sto metrów. Przebyłem w dwóch susach pustą kabinę i u progu otwartych nad czarną przepaścią drzwi potknąłem się o coś.

To był spadochron.

Teraz już nie było czasu do namysłu. To też wszystkie trzy możliwości związane z tym faktem jednocześnie mi się narzuciły. Albo jeden z członków naszej załogi stracił głowę i skoczył bez spadochronu; albo w gondoli był jeden spadochron zapasawy; albo wreszcie ktoś jeszcze jest na pokładzie.

Obejrzałem się po mrocznem wnętrzu. Było puste, o ile mogłem stwierdzić z tego miejsca, nie zaglądając za wyrzutnię do bomb.

Zawołałem głośno, czy kto jest w gondoli. Odpowiedziało mi wycie pędu zza otwartych drzwi. Zrobiłem jeden krok w stronę wyrzutni i w tej chwili maszyna pochyliła się gwałtownie wbok. Straciłem równowagę, zaczepiłem o leżący u moich nóg spadochron i runąłem w próżnię.

Zmiotło mnie wtył. Zdążyłem dostrzec jeszcze śmigła obracające się wskutek inercji i naporu powietrza. Potem olbrzymia czarna masa samolotu śmignęła nade mną, oddalając się szybko, podczas gdy ja zapadałem w przestrzeń.

Ogarnął mnie ostry, aż bolesny prąd zimnego wichru i gęstniał z każdą sekundą, rwąc dokoła mnie huraganowym, twardym cwałem. Instynktownie szukałem oparcia, chciałem zmienić pozycję, chciałem „usiąść" lub „stanąć", podczas gdy spadałem głową i plecami wdół. Nogi i ręce ciążyły mi straszliwie. Nie mogłem wyprostować karku i zdawało mi się, że nie zdołam dosięgnąć klamry, otwierającej bezpiecznik spadochronu.

To paraliżujące wolę uczucie, uczucie już nie strachu, który bądź co bądź zmusza do jakiegoś działania, lecz zgrozy — staje się zapewne przyczyną śmierci niejednego z nas. I — gdybym wówczas nie zdobył się na największy wysiłek woli, jaki kiedykolwiek w życiu uczyniłem — nie rozmawiałbym teraz z panem, kapitanie.

Wytrząsnął fajkę o brzeg biurka i sięgnął po kapciuch z tytoniem. Ubijał go wolno, systematycznie, następnie zaś, mruknąwszy „dziękuję", gdy mu podałem ogień, mówił dalej.

— Wyrwałem tę klamrę z taką siłą, że omal nie wywichnąłem ręki. Wtedy zobaczyłem obok siebie biały obłoczek jedwabiu, uciekający w górę. Za nim rwał cały strumień białej materji. Chlasnęły linki. Wybuchnął nade mną z hukiem ogromny klosz, szerpnęło szelkami, wykręciło mną młyńca, że omal nie popękały napięte aż do bólu ścięgna i mięśnie, zakołysało tam i z powrotem.

Musiało to już być nisko, bo zaraz zobaczyłem ziemię i wylądowałem dość szczęśliwie na krzakach olszyny.

To, co patrząc z samolotu, uważaliśmy za niską przyziemną mgłę, okazało się cienką warstwą chmur, która sunęła wolno na wysokości jakich dwustu metrów. Pomyślałem wtedy, że trzeba było jednak zaryzykować lądowanie i — choć w tem nie było przecież mojej winy — robiłem sobie wyrzuty z powodu straty samolotu.

Zacząłem nasłuchiwać, czy nie dojdzie mnie odgłos jego upadku, bo słusznie przypuszczałem, że prędzej niż on znalazłem się na ziemi. Jednocześnie wróciła mi myśl o spadochronie, który znalazłem w kabinie nawigacyjnej.

Niepokój o resztę załogi — szczególnie o Nowackiego, bo przypuszczałem, że Morawa skakał pierwszy i wiedziałem, że jest doświadczonym podoficerem — niepokój ten skłonił mnie do natychmiastowego działania pomimo bólu we wszystkich członkach. Ruszyłem w kierunku południowym, orjentując się według wiatru, gdy wtem usłyszałem zdaleka naprzeciw mnie lecący samolot.

Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że leciał bardzo nisko i że jego silniki były zupełnie rozstrojone.

W kilka sekund później maszyna przeszła tuż nade mną w lekkim skręcie, ślizgając się na prawe skrzydło. Poznałem ją mimo ciemności: to była moja FG-32. A przecież wyłączyłem oba silniki przed skokiem...

Zrozumiałem wszystko z przerażającą jasnością w ułamku sekundy i zacząłem biec: za sterem siedział Nowacki.

Oh, to nie jest historja dla sądu i dla komisji badań wypadków lotniczych. Nie powinienem był jej wogóle opowiadać. Nie uwierzono mi naturalnie. Nie umiałem ich przekonać i nie miałem żadnych dowodów. Ale pan — niech pan sam powie, czy mogło być inaczej?

Po raz pierwszy od początku naszej rozmowy Herbert okazał wzruszenie. Patrzył na mnie z wyrazem niepokoju i niepewności. Czy mu uwierzę? Pozbył się nagle swego ostrożnego sposobu bycia i swej powolności. Przestał szukać słów i miarkować głos. Zauważył to jednak zaraz i, zmieszany, umilkł.

— Niech pan mówi — powiedziałem, kładąc mu dłoń na kolanie. — Ja panu wierzę.

Uspokoił się szybko. Kiedy zapalał po raz już nie wiem który gasnącą fajkę, ręce nie drżały mu ani trochę.

— Więc tak — mówił dalej, zupełnie już opanowany. — Nowacki został na pokładzie. Zapewne stał za wyrzutnią w chwili, gdy wypadłem z samolotu. W każdym razie twierdzę — jestem pewien — że został umyślnie. Żeby choć raz w życiu poprowadzić maszynę samemu, na własną odpowiedzialność; jak to sobie wymarzył; jak to sobie może postanowił i czekał tylko okazji; choćby za cenę życia.

Kiedy zobaczył, że mnie wymiotło z pokładu jak snopek słomy, wślizgnął się za ster. Znał dobrze ten samolot. Godzinami na ziemi przesiadywał na miejscu pilota i zanudzał wszystkich pytaniami o armaturę i urządzenia sterowe.

Śmigła obracały się jeszcze. Wystarczyło włączyć iskrowniki i otworzyć kran benzyny, aby silniki zaczęły pracować. Nawet przy tak wadliwej ich pracy mógł jeszcze przez jakiś czas utrzymać się w powietrzu, a o to mu przecież chodziło. Był niewątpliwie manjakiem.

Odbezpieczył stery. Leciał. Pilotował.

To musiały być dla niego wielkie, szczęśliwe chwile. Żaden z nas tego nie doświadczał, nawet wtedy, gdy po raz pierwszy prowadziliśmy samodzielnie samolot, jako uczniowie w szkole pilotów.

Niewątpliwie miał pojęcie, jak się należy do tego zabrać, ale umiał przecież mniej, niż przeciętny uczeń w połowie kursu pilotażu FG-32 nie jest łatwa do pilotowania; trzeba ją dobrze poznać, aby dać sobie z nią radę. Cóż dopiero, gdy silniki działają do takiego stopnia źle, jak to właśnie miało miejsce.

Wyobrażam sobie doskonale Nowackiego w tej sytuacji, wśród tej dramatycznej scenerji. Tę pustą mroczną skrzynię czterotonnowego samolotu, w której hulają przeciągi; te blade anemiczne światła ekranowych lampek, które oświetlają konające zegary i manometry; te rzygające dymem spalin, chore silniki, zachłystujące się co chwila i strzelające ogniem.

Widzę go, jak siedzi za sterem, tragiczny w patosie tego pierwszego i ostatniego lotu, dokonanego za taką cenę. Patrzy w noc, w ciemność, na mętny horyzont, rozjaśniający się tu i ówdzie słabym odblaskiem łun. Próbuje poruszyć koło sterowe i czuje, jak maszyna posłusznie kładzie się na skrzydło. Ściąga ster na siebie i oto samolot wpiera się w powietrze, orze głęboką, niewidzialną bruzdę w przestrzeni, zawraca.

Nowacki włada nim. Zapewne nie zdaje sobie sprawy z niedołężnej linji skrętu. Nie czuje poślizgów, zboczeń, uskoków wdół i wgórę, których i tak nie umiałby opanować, nie mając w tem wprawy. Jest dumny. Jest szczęśliwy.

Ale oto zza cienkiej warstwy obłoków wynurza się ziemia. Staje się bliska. Jest twarda, niegościnna, pocięta kolejowemi torami, szosami, garbata od wzgórz, czarna od kosmatych lasów. I tylko daleko na północy bieleje wielka, równa piaszczysta pustynia poligonu. Tam możnaby wylądować.

Pan się domyśla, panie kapitanie, co mi wtedy przyszło do głowy. Nie powiedziałem tego sądowi, bo sąd — jak szeroka publiczność — chce widzieć albo czarno, albo biało. Ale pan wie przecież, że każdy z nas jest człowiekiem. Nie białym bohaterem i nie czarnym łajdakiem, tylko człowiekiem, który miewa odruchy dobre i złe.

Otóż przez chwilę uprzytomniłem sobie, co mi groziło, gdyby Nowackiemu udało się wylądować. Nie mam tu na myśli sądu. Sąd uniewinniłby mnie, bo wtedy miałbym świadka. Ale w porównaniu z tem, co mnie spotkało ze strony opinji w ciągu tego roku po jego śmierci, byłaby to klęska stokroć gorsza. Nie pytanoby przecież, jak się to stało, ale wiedzianoby, że pilot wyskoczył, obserwator zaś został i ocalił maszynę. I wtedy w ciągu tej krótkiej chwili pomyślałem, że lepiej już, aby jej ocalić nie zdołał.

Przeleciała mi ta myśl przez głowę, gdy biegłem w stronę piaszczystej równiny, aby... hm, aby podomóc do tego lądowania. Jak depomóc? Nie wiem.

Znałem przecież ten samolot. Chciałem go uratować. Nie Nowackiego, tylko właśnie samolot. Zdawało mi się, że potrafię oddać Nowackiemu całą moją umiejętność lądowania, jeśli tylko będę widział, jak zbliża się do ziemi.

Musiał ją zobaczyć nagle, tę groźną ziemię, jak słała mu się pod skrzydła. Jak sięgała w górę rozczapierzonemi chciwie konarami dębów i czochratemi łbami sosen.

Może myślał, że wyląduje, bo jednak nie zdołały pochwycić go drzewa i gnał już nisko nad wydmami białego piasku. Ale nie powiodło mu się. Nie umiał wytracić szybkości, nie orjentował się, gdzie leży równy

(Dokończenie na str. 14-ej).

KU SŁOŃCU... Z dusznych sklepień kolejki podziemnej zdążają mieszkańcy miast do swoich codziennych zajęć, ciesząc się promieniami wiosennego słońca. Fot. Presse-Photo.



(Dokończenie ze str. 12-ej).
teren i nie zdawał sobie sprawy, że trawersuje. Całym pędem wyrżnął podwoziem o stos kamieni u skraja lasu.

Usłyszałem ten trzask i łoskot. Dobiegłem. Było już po wszystkiem: cisza; tylko z rozpękłych zbiorników lała się benzyna i syczały płatki śniegu na rozgrzanych cylindrach.

— — — — — — — — —

Herbert umilkł i ja milczałem również. Zegar na wieży odwachu wolno wybijał czwartą. Słychać było miarowe kroki żołnierza pod oknami. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć Herbertowi po tem wszystkiem.

Usiłowałem nastroić go optymistyczniej. Powiedziałem coś banalnego o pomyłkach sprawiedliwości. Wspomniałem, że przecież tak czy inaczej dziś kończy się okres zawieszenia go w lotach.

— Nie o to chodzi — odrzekł, machnąwszy ręką. — Widzi pan, to się oczywiście już skończyło i przeszło. Ale zostaje cień, który powlecze się za mną wszędzie. Cień sprawy o pozostawienie obserwatora w samolocie, który ja opuściłem. Przecież nie mogę każdemu zosobna opowiadać tej historji tak jak panu. Któryż z obserwatorów teraz chętnie ze mną poleci?

Nie odpowiedziałem na to pytanie. Odpowiedź na nie pozostawiam wam, koledzy obserwatorzy: kto z was zechce polecieć z porucznikiem Herbertem?

PORANNA GIMNASTYKA

z pomocą której możemy usunąć błędy budowy naszego ciała



Przez oddechanie przeponą z pomocą ułożonych na plecach książek usuwamy zbytnie wygięcie kręgosłupa w krzyżach...

ĆWICZENIE I.

W niniejszym numerze rozpoczynamy druk ćwiczeń gimnastycznych, opracowanych przez specjalistów dla ajencji C. Anders w Paryżu, których celem jest korygowanie błędów budowy ciała. Tego rodzaju gimnastyka stanowi dziś niezwykle ważny czynnik w dziedzinie higjeny i kosmetyki i jako taka cieszy się na Zachodzie wielką popularnością. Z wielu systemów, jakie powstały ostatnio, ajencja C. Anders wybrała najbardziej dostępny dla samodzielnego wypracowania. Jest on podzielony na poszczególne lekcje, z których pierwszą, omawiającą gimnastykę oddechu na przeponie, zamieszczamy poniżej.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą nieprawidłowego trzymania się są t. zw. zapadłe krzyże. Na szczęście dysponujemy rozmaitemi metodami, aby tę usterkę skorygować. Służy do tego w pierwszym rzędzie gimnastyka, polegająca na obrotach górnego korpusu, uelastyczniających stos pacierzowy, dalej uregulowanie linji krzyżów przez przysiady, gimnastyka nóg w pozycji leżącej i wreszcie gimnastyka prawidłowego oddychania.

Gimnastyka oddechowa jest uważana przeważnie za nudną, lecz należy podkreślić z całym naciskiem, że jest bardzo ważna dla zdrowia organizmu. Nie darmo twierdzą lekarze, że ludzie oddychający przeponą brzuszną żyją dłużej, aniżeli nie zwracający uwagi na sposób oddychania. Oddychanie przeponą brzuszną składa się z trzech faz. Nasza dzisiejsza lekcja ma pouczyć, jak należy gimnastykować oddech w celu wyrównania wklęsłych krzyżów. Ten sposób gimnastyki jest najpewniejszy i najbardziej nadaje się do usunięcia brzydkiej usterki postawy.

1) Opieramy się na kolanach i łokciach, podkładając pod kolana poduszeczkę. W celu ułatwienia kontroli gimnastyki kładziemy na krzyżach, a mianowicie na nieprawidłowem zagłębieniu talji sporą paczkę książek. Miarowo unosimy i opuszczamy grzbiet, nie pomagając sobie przytem ani nogami, ani ramionami. Z początku powtarzamy tę gimnastykę powoli, potem coraz szybciej, lecz tak, aby książki nie spadły. Przy podnoszeniu grzbietu oddechamy tak mocno, abyśmy czuli napływające powietrze w tylnej partji płuc. Czynimy to tak energicznie, jak gdybyśmy zamierzali przerwać jakiś ucisk w pasie. Nie wolno nam przytem ściągać palców, ani łopatek, lecz wykonywać czynność gimnastyczną wyłącznie krzyżami.

Wydech musi być jeszcze silniejszy i aktywniejszy, aniżeli wdech. Wytłaczamy ze siebie powietrze, uginając grzbiet w krzyżach i wciągając brzuch.

Ćwiczenia tego nie należy powtarzać za często w początkach gimnastyki, ponieważ silny dopływ krwi do przepony brzusznej odciąga krew z mózgu, przez co powstaje uczucie lekkiego zawrotu głowy. Lecz bez obawy, moje Panie, nie grozi to żadnem niebezpieczeństwem. Po gimnastyce należy szybko wstać, rozprężyć członki, kilkakrotnie wciągać i wydychać powietrze przez nawpół otwarte usta. Gimnastyka jest skuteczniejsza, jeżeli przeprowadza się ćwiczenia przy otwartych oknach.



Przy wdechiwaniu muszą żebra podnieść książki w górę tak, aby nie spadły z pleców.

ZDJĘCIA: C. ANDERS - PARYŻ.

„MIASTECZKO GULLIVERA"

Któż z nas nie wierzył w onych szczęśliwych latach, że daleko za siedmioma górami i siedmioma rzekami na szklannej górze mieszka królowa Śnieżka? — Wówczas wierzyliśmy, że gdy zmrok zapada aleje parku, który otaczał nasz dom rodzinny roją się od małych krasnoludków, którzy w czerwonych czapeczkach z siwemi brodami biegają wśród traw, zaludniając niewidzialny kraj baśni. Ów świat „czwartego" wymiaru, istniejący tylko dla dzieci i w dziecięcej fantazji — wydawał się nam wówczas najzupełniej realny. Fantastyczne opowieści o miastach i wsiach, w których mieszkają krasnoludki, przyjmowaliśmy za prawdę wierząc, że któregoś dnia i my zobaczymy jednego z tych mieszkańców baśniowego świata.



Oto jak wygląda nowoczesny Gulliver na tle domków miasteczka.



Spojrzenie do wnętrza minjaturowego kościółka.

Lecz przyszedł czas, gdy wraz z legendą dzieciństwa zapadł się dla nas w nicość bajkowy świat krasnoludków. Przestaliśmy wierzyć w małe domki i miasta z opowiadań Gullivera.

Jakby dla tych dorosłych niedowiarków przeznaczone jest miasto karzełków, które leży w Turyngji na gruntach, należących do miasta Lehesten. Miasto to zbudowane jest wedle wszelkich zasad budownictwa, posiada własny kościół, gospodę itd. Każdy niemal dom leży w minjaturowym ogródku, otoczonym zależnie od... „zamożności" mieszkającego w nim krasnoludka, płotem drewnianym lub elegancką siatką metalową. Miasteczko karzełków w Lehesten słynne jest na całą Europę, gdyż stanowi w pewnym sensie jedyny na kontynencie unikat.

Miasto Lehesten posiada jeszcze i inny tytuł do sławy. Znajdują się tutaj bowiem olbrzymie kamieniołomy łupka, słynne na cały świat. Łupek z tutejszych kopalń rozchodzi się po całej Europie jako pierwszorzędny materjał do krycia dachów. Nic też dziwnego, że minjaturowe domki miasteczka w Lehesten kryte są również tym materjałem.

Dzięki tej wyjątkowej okoliczności w Lehesten rozwinął się świetnie przemysł dachowy. W mieście tem wszyscy interesują się tylko budową dachów, powstała tu też jedyna w Niemczech szkoła budowniczych dachów, która kształci specjalistów i majstrów w tej gałęzi budownictwa.

Lehesten jest zatem miastem o podwójnem obliczu: jednem realnem, rzeczywistem i drugiem baśniowem. Rozpada się bowiem na dwa miasta: w jednem mieszkają ludzie w normalnych domach, w drugiem zaś lalki...

Przejdźmy się po ulicach minjaturowego miasteczka. Fachwerkowe domki, których wysokość waha się pomiędzy 50 a 220 cm, ustawione są niemieckim zwyczajem bokiem do głównej drogi. Jak w każdem miasteczku prawdziwem, spotykamy tu solidne domy bogatych gospodarzy, leżące w pięknych ogrodach, wyposażone we wszystkie budynki gospodarcze, jak stodoły, składy itd., jak również widzimy małe skromne domki mieszkalne. W tem miasteczku gulliverowskiem nie brak również piętrowych miejskich kamieniczek, należących zapewne do miejscowych... drobnych przemysłowców i kupców.

Wszystkie zdjęcia C. ANDERS — PARYŻ.



Jedna z ulic minjaturowego miasteczka.

Na peryferjach stoją domki wypoczynkowe, otoczone ślicznemi ogródkami. Malutkie klombiki kwiatów, dróżyny wysypane kolorowym piaskiem — sadzawki i maleńkie ławeczki sprawiają wrażenie, jakby istotnie te domki zamieszkane były przez malutkich mieszkańców.

Na specjalną uwagę zasługuje kościół. Jest to imponująca budowla, utrzymana całkowicie w stylu małych wiejskich kościółków, jakich pełno jest w naturalnych rozmiarach we wsiach Turyngji. Budowla ta wieżą przewyższa wzrost normalnego człowieka, niemniej jednak ręką łatwo jest dotknąć szczytu spadzistego dachu.



W lilipuciem miasteczku każdy nieostrożny krok spowodować może katastrofę.

W drzwiach kościoła stoi „minjaturowy" proboszcz, który uprzejmym ruchem ręki zaprasza nas do wejścia. Niestety jesteśmy zbyt wielcy, aby przekroczyć progi tej świątyni. Musimy zatem zadowolić się zwiedzeniem jej... via okno. Wnętrze zachowane jest w tym samym ludowym stylu. Misterna budowa głównego ołtarza i kazalnicy wzbudza w nas podziw. Ileż trzeba było pracy i wytrwałości, aby zbudować tę piękną minjaturę.

W Lehesten łatwiejsze musi być dzieciństwo... Wieczorem o zmierzchu, opowiadając dziatwie bajki, można ją poprowadzić do czarownego miasta karzełków i z pobliskiego wzgórza pokazać im jedyną w swym rodzaju panoramę. Oto w małej kotlince, oddzielnie samo dla siebie w zieleni leży miasteczko, jakie zwiedzał w swych podróżach Gulliver. Zachodzące słońce pada na skośne dachy pierwszych domów — w sadzawkach gra żywo światło. Oto zrealizowana baśń dzieciństwa — miasto nieistniejących małych ludzi..

Ballada tatrzańska

Ks. KAZIMIERZ SKOWYRA.
Pisane w Pekinie, w grudniu 1935 r

I.

„Wschodnia Igła".

— „Kamienna Igła" o łono ziemi oparła się sztorcem,
Jak jędza jakaś. — Prawą ręką w Gobi, lewą, niby kolcem,
Wodę Oceanu rozbryzła na piankę.
Na granicach turni wichr gra kołysankę.
Chmury jej welon, diadem kozice. —
W zachodzie słońca wzdęła się i lice
Krwią pobroczyła „Patrzcie" — woła, dumna
„Czy inna góra jest-że taka cudna"?

* * *

Anim się nie trudził o odpowiedź jaką,
Jeno wzrok swój wytężam za słońca poświatą.
I widzę: stary Giewont, Zawrat i Pyszną pyskatą.
Całe Tatry widzę! Po Krywań, po ostatnie granie!

* * *

Ale haw to słońco! — hm — hm —
chyba Dzianisanie! —
abo — bies jakiś, lub —
Boskie skoranie! —
pewnikiem sie ktoś obwiesił!
Poźryjta, hań stela!? —!
. . . Oj raty, przeraty! O Maryjko miela —
poli sie!!!
Dziadońka się poli!
Haw, haw, ta karczma, co nad drogą stoi!
Bucha i skrzy się, jak największa watra
w noc świętego Jana podłożona w Tatrach!

Fojermany! hej fojermany!!
Chybojcie, a w mig!
w Dunajcu wodę macie, a pod ręką śnig: —
w stojni moja szkapa — na Boskie rany,
a wartko, a hyżo! — nie żałujcie bata
. . . . dyć to przecież nasza wspólna chata!

* * *

Jezisicku,
święci niebiescy Harnasie,
haw te kulę żarną oblijcie, staroście!
Kaj będziemy tańcować —
Kaj będziemy grali,
skoro się Dziadońka,
Kościelisko spali!?
— Skoczę tam! — (byleby dobiec)
rozdrapię, —.
Zagaszę —!
Kto się odważył podpalić, co nasze!?
Przeć polska chudoba! — I koniec!

* * *

Lecz mocne łapsko jakiegoś olbrzyma
co się sprzągł z wiatrem, nie popuści — trzyma.
— Nie popuści???
— Musi!!
Hej, ty iglasto, skostniało psiawiaro!
z grani prochy zlizujesz, nahajami walisz:
dech w piersi zapychasz, za grdykę dławisz. —
— Przestań!! — — — — — — — — —
— — — — — — — — Jeszcze ci mało?
Czekasz? —
— może gdzieś w kolczastej turni kości mi połamiesz,
flaki me wysuszysz?!
— Jeszcze się śmiejesz?
— Tę twoją robotę... mam... hm!
gorzej, niśli błotem! —
mam zasię!
Czy mię słyszysz? — mam zasię!
Ty mi ubliżasz, ty — polskiemu gaździe!?
Nie ja czeskim psubratem, ni ty dla mnie swok —
patrz!!
w Imię Boże!
Hej, hop!

* * *





Na przyzbie... Fot. J. Fodbrożny — Zakopane.

Owce na Hali Gąsienicowej. Fot. M. Wieczorek Zakopanem.



Burza nadciąga... Fot. W. Woźny — Zakopane.

II.

W Kościelisku.

Zabyrkol w sygnaturkę Jan Marusarz Kowol.
Ledzieś zmówił „Zrowaśkę", ledwie krzyknął „Pochwol"
(Była to niedziela, jakby trzecia w Adwent)
zadudlił oducha, tworząc wielki zamęt;
pan oranista (komóż nieznany)-pan Motek,
co to nigdy nie wiedział — krzyżyk? — czy bo — mołek? —

Śpiewol i Jędrek, zwany „z pod Jaworków", —
nie wiem od kieła, — będzie sporo roków, —
trzeciego Zakonu brat przewodniczący.
Pomrukiwał mu basem, jak gdyby niechcący,
„Stary wójt" — Jędrzej Pitoń, okropna powaga,
co dla sanatorji chrzcić mleko pomaga.

Zeszli się ludziska z Gronika, Blachówki,
nie licząc już innych. Także i z Płazówki.
Pod sam ołtorz święty dzieciska się pchają,
parobki we drzwiach, pod chórkiem: baby godzinki śpiewają.

Ja sobie, — baca Boży, stąpam w środku nich, —
(z ciupażką w ręku — nie! — z krzyżem.)
Przecieżem z Giewontem gadał! Przecież Mnich,
Morskie Oko, Zawrat, Rysy i Granaty
wszystko to mije spólniki — kamraty!
Ciotka Prędowska, Blachutka, Korpiele,
Pitonie, Gąsienice, Obrochty, Staszele,
w ławkach posiadali! A ja: „Moi mieli" —
— rozprawiam poprostu — „co to są anieli" —
— co to jest zły „Janosik" — grzech — zwada.
Każę: „nie patrzcie krzywem okiem na swego sąsiada"!

„Patrzcie na te góry! Jak ta Bystra w bieli
promyków słońca i śnieżnej pościeli,
tak będzie się radował w niebie, blisko Pana Boga,
dobry gazda, co precz od swego proga
wyrzenie wszelką zwadę, gniew do swojej braci".
Amen! —
— A lud zawołał: „Niech Wam Bóg zapłaci"!

* * *

III.

. . . . A gdym się przebudził . . .
Dziadońka, jak stała, tak stoi.
Czemuż mię to serce tak okropnie boli??

* * *

A oto w bok, —
niepomne wiatru, ni pożaru słońca,
drobniutkim truchcikiem, od końca do końca
odmierzały polanę, to tu, to tam, odbiegną na krok,
owieczki srebrne, rześkie, roześmiane. —

. . . Czy z Kościeliskiej? — zdaje się, te same!?
Z doliny „za bramką"? — Aaa! przecież
pamiętam — ot! tamtę —
tam w dole —
— miała jagniątko — z plamką na czole!

Hej, moje owieczki, koźlęta, barany!
Czy na Tun Dzienie gazda wam nie znany,
co w Kościelisku miał morgi i ciele, —
psa „Draba", „Zbója" i krówkę krasule
gazda, coście się na halach z nim witały czule?

Podumały chwileczkę — wnet skoczyły do mnie
„Darujcie, przebaczcie, kochany plebanie,
Pozwólcie nam wyrzec jedno tylko słowo:
— takeście się zmienili — ! — smutne macie czoło!?

— — — — — — — — tak, tak, pewnikiem —
no, no , ...
Lecz nie gadajcie, bo my pojmujemy
co to rzucić swoich, i Polskę... —
my wiemy!

Olbrzymy w przestworzach...


Sterowiec „Hr. Zeppelin" w locie.

Katastrofa Zeppelina niemieckiego „L Z 129", który pod nazwą „Hindenburg" dopiero od niedawna pełnił służbę komunikacyjną ponad Atlantykiem Północnym, była niesłychanym ciosem nietylko dla rodzin nieszczęsnych ofiar, ale też i dla techniki i niemieckiej dumy narodowej. Każdy naród spełnia czyny, z których jest szczególnie dumny. W dzisiejszych czasach pokojowych są to albo wyczyny sportowe, albo też pewne dzieła techniki. Dzieła sztuki zeszły niestety na plan dalszy. Z tych czynów i dzieł czerpie swoją pożywkę i podnietę duma narodowa. Wspomnienie o nich wywołuje uśmiech radości na twarzy każdej jednostki, przynależnej do danego narodu. Otóż takiem dziełem standartowem był dla Niemców sterowiec „LZ 129". Z charakterystycznem poniekąd dla Niemców samopoczuciem, graniczącem z pychą, uważali oni „Hindenburga" za dzieło skończone, któremu nic na świecie nie dorównuje. Przecież niedawno przeczytałem w książce inż. Pfeiffera p. t. „Fahren und Fliegen" określenie tego Zeppelina jako najdoskonalszego dzieła techniki, któremu nawet zazdrość bogów zaszkodzić nie może. (Selbst der Neid der Götter kann ihn nicht bändigen). Zuchwałe to słowa, ale straszną była zemsta bogów! Okazało się, że jednak żywioł silniejszy jest od człowieka. Zrozumiały jest więc nastrój tragiczny, który zapanował w Niemczech po tej katastrofie. Nie dziwimy się wcale, że Niemcy wstrzymali na razie w ogólności komunikację powietrzną zapomocą sterowców, chociaż sterowiec LZ 127 „Graf Zeppelin", napełniony wodorem, kursujący między Niemcami a Ameryką, przebył już miljony kilometrów, przewożąc tysiące pasażerów i olbrzymie ilości ładunku. Wprawdzie tenże „Graf Zeppelin" już uległ raz katastrofie. Było to mianowicie w południowej Francji w pobliżu Tulonu, kiedy to złamały się wały korbowe wszystkich motorów. Katastrofa wydarzyła się podczas drugiej podróży tego sterowca do Ameryki, ale znakomity nawigator, dr Eckener, zdołał wówczas ocalić załogę wraz z balonem i ZL 127 ma dzisiaj jeszcze te same motory, o zmienionej liczbie obrotów.

Zastanawiając się nad historją katastrof najsłynniejszych sterowców, do-


Wnętrze sali jadalnej na pokładzie sterowca „L. Z. 129"

LZ 1 (1900)

LZ 3 (1906)

LZ 5 (1909)

LZ 6 (1909)

LZ 8 (1911)

LZ 10 (1911) „Schwaben"

LZ 13 (1912) „Hansa"

LZ 14 (1912) „L 1"

LZ 18 (1913) „L 2"

LZ 21 (1913) „Z 6"

LZ 23 (1914) „Z 8"

LZ 25 (1914) „Z 9"

LZ 26 (1914) „Z 12"

LZ 36 (1915) „L 9"

LZ 40 (1915) „L 10"

LZ 59 (1915) „L 20"

LZ 62 (1916) „L 30"

LZ 91 (1917) „L 42"

LZ 94 (1917) „L 46"

LZ 95 (1917) „L 48"

LZ 100 (1917) „L 53"

LZ 104 (1917) „L 59"

LZ 113 (1918) „L 71"

LZ 120 (1919) „Bodensee"

LZ 127 (1928) „Graf Zeppelin"

LZ 129 (1936) „Hindenburg"

Powyższa tabelka obrazuje nam kolejność budowy niemieckich sterowców, według planów hr. Zeppelina. U góry: pierwszy okaz olbrzymiego balonu, zbudowanego w r. 1900, u dołu: „L. Z. 129"-„Hindenburg"



Hr. Ferdynand Zeppelin, twórca niemieckich sterowców.

szym balonem, wypełnionym helem. Dookoła więc łatwozapalnego wodoru znajdował się niepalny i drogocenny hel. Same worki były wykonane z błony jelit bydlęcych, a raczej z błony jelita ślepego, bardzo delikatnej i mocnej. Unika się bowiem balonów gumowych, które przy tarciu dają duże ładunki elektryczne, mogące spowodować iskrę. Niepalny hel, jako szalenie drogi i znajdujący się w większych ilościach głównie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, był jednak gazem nośnym w olbrzymich sterowcach amerykańskich w „Akronie" i „Maconie". A mimo to nie uchroniło to sterowców od zagłady.

Właśnie dzieje tych sterowców potwierdzają poniekąd naszą tezę o doniosłości roli nawigatora. Kiedy w nocy z 3 na 4 kwietnia „Acron", olbrzymi sterowiec amerykański o pojemności nie wiele mniejszej niż „Hindenburg" padł ofiarą burzy w pobliżu wybrzeży wschodnich Ameryki Północnej, przyczem zginęło 69 osób załogi, to jak się potem okazało na podstawie opowiadań ocalonego drugiego kapitana Wileya, przyczyną katastrofy był prawie wyłącznie błąd komendanta Mc Corda. Mc Cord, który początkowo natrafiwszy na burzę, przeciął odważnie na najkrótszej linji jej rejon i wydostał się z niebezpieczeństwa, z niezrozumiałych powodów zawrócił znowu ku wybrzeżu, w pobliżu którego szalała burza i dostał się w zasięg cyklonu. Olbrzym powietrzny został rzucony z wielką siłą na wodę i przełamał się w środku w miejscach słabszej konstrukcji i zatonął w ciągu kilkudziesięciu sekund. Tenże kapitan Wiley, który przeżył tę katastrofę i poprzednią katastrofę amerykańskiego sterowca „Shenandah", został komendantem następnego amerykańskiego olbrzyma „Macona", bliźniaczo podobnego do „Akrona". Amerykanie widocznie uważali, że skoro wyszedł cało z dwóch takich katastrof, to można mu śmiało powierzyć nowy statek powietrzny. I faktycznie kapitan Wiley przeżył i trzecią katastrofę. 13 lutego 1935, kiedy „Macon" brał udział w ćwiczeniach floty amerykańskiej na wybrzeżu kalifornijskiem, dostał się w zasięg strasznej burzy, Wiley jednak zorjentował się, że niebezpieczeństwo jest poważne — i zawczasu zaczął wzywać pomocy sygnałami radjowemi. Zmiarkował on, że sterowiec z jakiegobądź bliżej nieokreślonego powodu uszkodzony został na rufie. Sterowiec zaczynał wznosić się przodem ku górze, aby następnie znowu opadać. Wiley poznał więc, że stery nie działają, powyrzucał balast i zbiorniki z paliwem i nadał wiadomość radjotelegraficzną, że załoga opuszcza statek. Znajdujące się w pobliżu okręty wojenne i pasażerskie, zbliżyły się do miejsca katastrofy. Cała załoga miała jeszcze czas opuścić sterowiec i wsiąść na łodzie gumowe puszczone na wodę. Jedynie dwóch ludzi z załogi zginęło.

Od tego czasu Amerykanom odechciało się budować sterowców; natomiast w całym świecie panowała zgodna opinja, że najlepsze sterowce są po-

chodzę do przekonania, że, kto wie, czy przedewszystkiem o powodzeniu lotu nie decyduje zdolność nawigatora. Przypuszczenie to nasuwa choćby rozpamiętywanie losu wielu wolnych balonów, a cóż dopiero sterowców.

W Niemczech i prawie na całym świecie uważa się, że jedną z najważniejszych przyczyn katastrofy „Hindenburga" był fakt, że sterowiec ten napełniony był wodorem a nie helem. Otóż to mniemanie należy sprostować z tego względu, że w sterowcu tym rolę gazu nośnego pełnił także hel, a nietylko łatwopalny i dający mieszaninę wybuchową z powietrzem wodór, tak ogłoszono przynajmniej przed katastrofą. W górnej części sterowca, t. tj. tam, gdzie zazwyczaj mieści się gaz nośny, znajdowały się na „Hindenburgu" komory, a raczej baloniki, napełnione wodorem. Każdy jednak z tych baloników otoczony był drugim, więk-



„Hindenburg" rozpoczyna dnia 4 marca 1936 swoją pierwszą podróż. Zdjęcie przedstawia chwilę wyprowadzania sterowca z hangaru w Friedrichshafen.

chodzenia niemieckiego. Niemcy bowiem budowali tymczasem jeden sterowiec za drugim, pełniące służbę komunikacyjną. Także te sterowce, które dostały się dawniej jeszcze jako część reparacyj powojennych zwycięskim państwom, jak np. Zeppelin zwany „Los Angeles", pełniły doskonale służbę.

Anglicy natomiast, którzy pokusili się sami o budowę dwóch okrętów powietrznych, zwanych R 100 i R 101, nie mieli przytem powodzenia, chociaż były to sterowce doskonale wyposażone. R 100 miał coprawda szkielet stalowy i był wskutek tego za ciężki, ale R 101 był bardzo dobrze zbudowany, nawet



Wnętrze salonu na pokładzie „L. Z. 129"

Na lewo: Zdjęcie radjowe pożaru sterowca „Hindenburg"

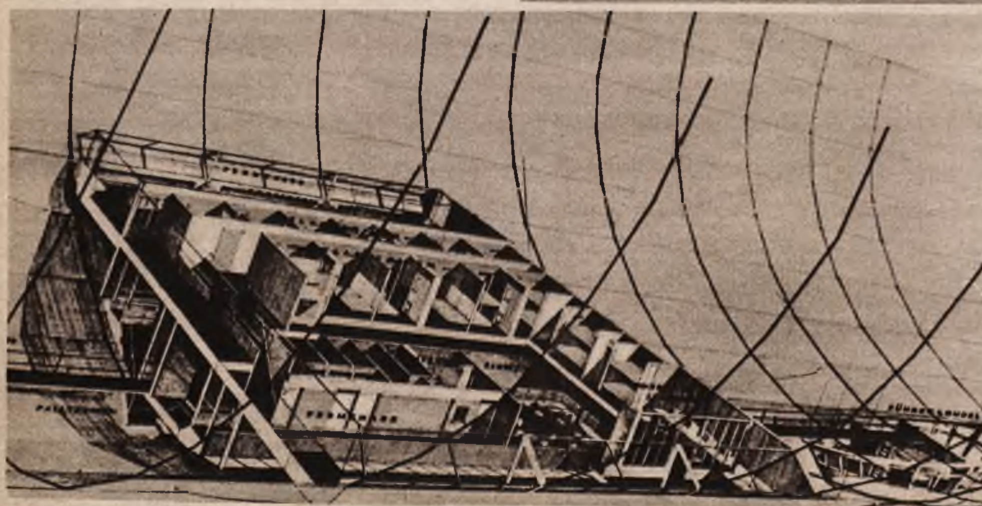
zdaniem Niemców. A jednak spotkała go straszna katastrofa.

Był to pierwszy statek powietrzny, napędzany motorami Diesla, o paliwie z ciężkich, nie łatwo palnych olejów, gdyż głównie obawiano się niebezpieczeństwa ognia przy innem paliwie. Załoga nosiła specjalne buty o podeszwach gumowych, aby tylko nie wywołać iskry przez tarcie. Statek ten miał znakomicie utrzymaną linję aerodynamiczną i każdy z 38 zbiorników ropy, wzgl. oleju gazowego, był zaopatrzony w specjalny nóż, który w razie niebezpieczeństwa rozcinał dno tego zbiornika jak gdyby puszkę od konserw, umożliwiając natychmiastowe wypróżnienie zbiornika, aby tylko uniknąć niebezpieczeństwa pożaru. Niestety jednak katastrofa nie ominęła i tego sterowca. Dnia 4 października 1930 na naleganie min. lotnictwa Tompsona, kierownictwo statku powietrznego musiało rozpocząć podróż mimo, że było dużo powodów do jej zaniechania. Zbiorniki gazu, znajdujące się wewnątrz szkieletu, były luźno zawieszone, tak, że ocierały się o siebie, aż do przetarcia, co powodowało znaczne straty gazu. Statek tak był obciążony paliwem, że ledwie mógł się unieść w powietrze. Mimo, że paliwa w ciągu podróży ubywało, ubywało jednak także i gazu. Statek dostał się w nawałnicę deszczową. Ale jak długo kierowali nim zdolni oficerowie, kapitan Johnston i konstruktor Richmond, wszystko jeszcze szło dobrze. Kiedy jednak oddali kierownictwo w inne ręce, nie upłynął ani kwadrans, a statek najechał wczesnym rankiem 5 października na płaskie wzgórze w półn. Francji, ulegając zniszczeniu przez pożar, którego tak się obawiano. Zginęło wtedy 46 ludzi, a tylko 8 uszło z życiem. Anglicy zniechęcili się do sterowców i przeznaczyli pozostały statek R 100 na szmelc.



Na prawo: Wykończanie szczegółów technicznych przy „L. Z. 129"

Poniżej: Na ilustracji widzimy (u góry) rozkład kabin dla pasażerów i (poniżej) wnętrze kabiny sypialnej na pokładzie sterowca.



Czyżby więc także i w Niemczech obecnie miał nastąpić kres Zeppelinów? Nie wierzymy w to bynajmniej. Stary Zeppelin, który umarł właśnie 20 lat temu w r. 1917, przeżył niejedną podobną katastrofę swoich najśmielszych marzeń, kiedy przeciw niemu obróciła się cała opinja publiczna, a sfery wojskowe wręcz go zwalczały. Uważały one staruszka, który w 62 r. życia odbył pierwszy swój lot w zbudowanym przez siebie sterowcu LZ 1 w r. 1900 za pewnego rodzaju manjaka. A jednak zdołał on zczasem przekonać opinję publiczną i udało mu się zdobyć środki na nowy sterowiec. Charakterystyczny dla Niemców upór i wytrwałość spowodowały przecież, że nie Francuzi, którzy przed nimi aż do lat 90-tych ub. stulecia intensywnie zajmowali się budową balonów, tylko właśnie Niemcy kontynuowali i udoskonalili ten niezwykły środek komunikacyjny.

Zeppelin sam nie był technikiem. Poznał się w czasie domowej wojny amerykańskiej w latach 60-tych na walorach balonów obserwacyjnych w czasie kampanji. Umiał korzystać ze zdobyczy swoich poprzedników i chociaż nie wiedział o tem, że pierwsi Rosjanie wybudowali w r. 1887 balon o sztywnej konstrukcji, to jednak wiedział o konstrukcji żyda węgierskiego, budapeszteńskiego handlarza drzewem Dawida Schwarza, który pierwszy wprowadził osłonę aluminjową dla sterowca. Hr. Zeppelin skorzystał jednak z niepowodzenia swoich poprzedników, umiał sobie znakomicie dobierać fachowców, inżynierów, z których pierwszy nazywał się Kober, a następni Dürr i Kübler. Hr. Zeppelin przyswoił sobie także ideę franc. pułkownika Renarda o linji aerodynamicznej sterowca, której najsłynniejszym realizatorem stał się zarówno w budowie sterowców jak i innych środków komunikacyjnych Paul Jaray.

Największym jednak z realizatorów planów hr. Zeppelina stał się dawny jego przeciwnik, dr. Eckener, który do dziś dnia uważany jest za najlepszego nawigatora sterowcowego. Nie wierzymy więc, ażeby Niemcy porzucili plan budowy dalszych sterowców i komunikacji transoceanicznej, chociażby ze strony sceptyków wysuwano różne wątpliwości, jak np. te, czy opłaci się z narażeniem życia lecieć 45 godzin do Ameryki, skoro można to uczynić bezpiecznie zapomocą transatlantyku typu „Normandie" w czasie tylko około dwa razy dłuższym. *Inż. J. A.*

„SPRZECZKA MAŁŻEŃSKA"
Asy ekranu Carole Lombard i Fred MacMurray.
Fot. Polonsky — Hollywood.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

PRZYZYWAM CIĘ

SLOWFOX

Słowa:
W. KAŁKA

Muzyka:
MARJAN RADZIK

f

Dziś w mej du-szy wo-ła i pragnie i drży ja-kiś głos ta-jem-ny, co ukra-da się w sny.

p

Nie wiem, czy to wiosna, czy też pieśń mi-łosna brzmi .... O kimś o-po-wia-da u-

par-cie co dzień, cudnym dziś przedstawia nie-zna-ny mi cień, więc u-czu-cie ro-dzi rządzę a w niej bro-dzi

f

- świat! Przyzywam cię! W wio-sen-ny, piękny, cichej no-cy dziś czar,

p

bo ser-ce, zmysły, myśli pa-lą jak żar, przy-by-waj już, przy-bądź, roz-ko-szy chcę!

cres ... cen ... do

Przy-zy-wam cię, choć nie wiem, ktoś ty, śnie mój, jednak twój zew prag-nie-nie zbudził, pa-li

p

w ży-łach mą krew, prze-no-si w in-ny świat! Roz - kosz, ach roz-kosz kwieciem swym jak

rit.

wio - sna .... serc roz-ry-wa pąk, nek-ta-rem ży-cia karmić chce. —

Przy-zy-wam cię! Więc przybądź, słu-chaj, pro-szę speł-nij mój sen,

p

niech dłużej mąk nie zniosę, bo dziś ten dzień w roz-ko-szy zgu-bić chcę!

ritard.

OCZEKIWANIE

JUSTYNA CYPRIAN

NOWELA

W jasnej, na biało wylakierowanej kuchence, przyrządza Maja kołację. Jej filigranowa figurka krząta się wdzięcznie między stołem a piecem. Wybiega na chwilę do pokoju, by spojrzeć na zegar: „Już piętnaście po siódmej... niedługo Andrzej wróci!" — szepce z zadowoleniem, przygładza przed lustrem swoje puszyste blond włosy i nakłada nieco karminu na ładne, dziecinne usta. Potem poprawia nakrycie na okrągłym stole, bierze z kredensu różowy hjacynt i umieszcza go wpośrodku stołu.

— Tak, teraz jest dobrze... — i znów wionęła ku kuchni.

Ale Andrzej nie wracał, chociaż minęła ósma. „Pewnie obrażony na mnie" — myśli z żalem Maja — ...bo też całkiem niepotrzebnie rozdrażniła go sprzeczką podczas obiadu... o głupstwo — no i powiedziała mu parę przykrych słów. — Nic dziwnego więc, że nie wypiwszy nawet poobiedniej herbaty, porwał kapelusz i wyszedł do biura, nie pożegnawszy się z nią nawet. Coprawda, to zasłużyła sobie na to, ale do ostatniej chwili spodziewała się, że Andrzej wróci, przygarnie ją do siebie i pozwoli się przeprosić... Maja wzdycha: „Niedobry"!, ale myśli: „Kochany"!...

Postanawia od dziś być zawsze miłą i dobrą dla męża i dać mu naprawdę wytchnienie po ciężkiej pracy. Ale ponieważ trapią ją wyrzuty sumienia, siada przy radju i nastawia aparat, aby się rozerwać. Za chwilę słyszy zawsze piękną, chociaż tak ograną serenadę Schuberta.

Usadowiła się wygodnie w fotelu, przymknęła oczy i myśli:

...za kilka dni przypada czwarta rocznica ich ślubu... tacy są szczęśliwi oboje, tak pięknie umieją wpleść swą miłość w codzienne szare życie... Maja wie — chociaż jest bardzo młoda — że nie wszyscy znajdują szczęście w małżeństwie, i dlatego wdzięczna jest życiu, że jej dało Andrzeja.

...tak przylgnęli do siebie przez te cztery lata, że gdy Maja tego roku w zimie musiała pojechać do matki, zastała po powrocie Andrzeja całkiem chorego z tęsknoty... a i ona płakała co noc, kryjąc się przed oczyma matki, która nie znosi „przeczulenia i mazgajstwa".

..niech tylko teraz Andrzej wróci: zaraz go słodko przeprosi, a potem zasiądą do kolacji, jak zawsze naprzeciw siebie. Andrzej będzie jadł — jak zwykle — z apetytem wielkiego, kościstego mężczyzny, wszystko mu będzie smakowało, zwróci uwagę na estetyczne przybranie stołu, a przy herbacie wyciągnie poprzez stół swoją dużą, silną rękę i nakryje miłośnie dłonią jej drobne i wątłe palce. Potem opowie jej, co mu się w ciągu wieczora przydarzyło, kogo nowego poznał, co ciekawego posłyszał, a następnie ona musi mu opowiedzieć dokładnie i szczegółowo: co robiła, myślała, czy jej było smutno, czy wesoło... wszystko!! Po kolacji albo zatańczą sobie przy radju (a Maja lubi tańczyć!), albo też pójdą do kina, do kawiarni lub do znajomych...

A najprzyjemniej, kiedy zostają sami w domu. Andrzej pomaga jej wtedy sprzątnąć ze stołu, potem zdejmuje marynarkę, wkłada wygodną bonjourkę, zcisza radjo do niedrażniącego pianissima, bierze książkę (lekturę Andrzej zawsze sam dobiera, mądrze i starannie) — Maja zaś tymczasem „zrobi" nastrój: przesunie stolik, zgasi lampę u sufitu a zaświeci stojącą z pomarańczową umbrą. Potem weźmie jakieś naprawki, robotę ręczną lub wcale nic i usadowi się w drugim fotelu w ten sposób, że położy swoje szczupłe nogi, odrzuciwszy domowe pantofelki — na kolanach męża. Książka otwarta na odpowiednim rozdziale czeka, ale Andrzej musi dopełnić ceremonjału: obcałowuje więc i pieści delikatnie małe stopy Maji, a gdy mu się wkońcu zlekka oczy zamglą i rę-

ce miłośnie drżeć poczną, wtedy prostuje się, oddycha głęboko i mówi uspokajająco do niej i do siebie: „No — a teraz czytajmy...".

Maja przerywa nagle marzenia, bo słyszy czyjeś kroki na schodach: „To pewnie Andrzej!". Już chce biec do drzwi... ale kroki oddalają się i zatrzymują przy sąsiednich drzwiach. W tym momencie Maja spojrzała na zegar i przestraszyła się: „Piętnaście po dziewiątej... to dziwne". Andrzej nigdy bez uprzedzenia jej tak późno nie przychodził, a jeżeli nawet miał coś do załatwienia w mieście po wyjściu z biura, to ją uwiadamiał przedtem przez woźnego, żeby tylko się nie lękała. Serce jej zaczyna bić niespokojnie: „Gdzie też Andrzej mógł pójść?!"... ach, gdyby nie ta przeklęta sprzeczka, byłaby spokojniejsza — a tak, to różne myśli niemiłe przychodzą jej do głowy. Nie może usiedzieć i zaczyna niespokojnie krążyć po mieszkaniu. Coraz większe zdenerwowanie ją opanowuje — drażni ją radjo, więc zamyka je gwałtownie. „Eh, zpewnością już podczas obiadu wiedział, że ma wieczór coś w mieście załatwić, tylko widocznie z powodu sprzeczki zapomniał mi o tem powiedzieć" — myśli Maja. Wkońcu zirytowała się na samą siebie: „Ostatecznie Andrzej nie jest dzieckiem, nie zginie, a ona zaraz robi wielkie historje... widocznie musi mieć coś ważnego do załatwienia". Trochę uspokojona zajrzała do kuchni, odstawiła bulgocący saganek z wodą na herbatę... znowu kroki na schodach... tak, to jego kochane, mocne i pewne stąpanie!... Chociaż... nie, Andrzeja kroki są nieco lżejsze... Mimo to, Maja wstrzymuje oddech i jest w tej chwili jednem wielkiem uchem. Kroki zatrzymały się na chwilę, potem ktoś schodzi nieco wolniej na niższe piętro... jakieś drzwi zamknęły się z trzaskiem i znowu cisza.

Zniechęcona i coraz bardziej niespokojna wraca do pokoju, ale usiada tyłem do zegara, żeby tylko nie widzieć nieubłaganej wskazówki, posuwającej się ciągle naprzód.

„Ach, gdybyśmy mieszkali od frontu — myśli z żalem — to przynajmniej teraz siedziałabym sobie w oknie, wypatrując Andrzeja i czasby mi tak nie ciążył".

Po chwili zaczyna ją dręczyć pełna lęku ciekawość, która to może być godzina? Jeżeli jeszcze niema dziesiątej, to nie ma się o co obawiać, a jeżeli jest koło jedenastej, to... to Andrzejowi musiało się wydarzyć coś nieoczekiwanego... Albo może coś złego!? Nie — to niemożliwe, nonsens! Z nagłego strachu, aż Maję zakłuło w sercu. Popatrzeć na zegar, czy nie popatrzeć? Z determinacją zwraca Maja swą pobladłą twarzyczkę ku złotawej tarczy i stwierdza z ulgą, że jest dopiero 10 minut po dziesiątej. „No — tymczasem muszę coś robić: czytać, szyć lub napiszę list do matki, to mi czas znośniej przejdzie" — postanawia sobie, ale czuje doskonale, że nie jest zdolna do żadnej pracy. Chce się jednak przezwyciężyć i wyjmuje z szafy rozpoczętą robotę ręczną. Przygląda się chwilę wyhaftowanej pąsowej róży, potem dobiera i szuka odpowiedniego jedwabiu w różnokolorowych motkach, ale po chwili zostawia wszystko zniechęcona i zdenerwowana.

Nadsłuchuje: wszędzie taka cisza, a ona sama, z lękiem i niepokojem w sercu... ani się kogo poradzić, ani spytać... co tu robić?

Nieznośna, głucha cisza, a w niej niepokój rośnie z minuty na minutę, aż wkońcu zaczyna dławić w gardle: „Boże, Boże — załamuje ręce Maja — gdzie ten Andrzej?!" — i pełna rozpaczy zaczyna płakać najpierw cicho, a potem w poczuciu swojej bezradności i samotności, wybucha gwałtownym szlochem. Wszystko jej jedno, czy sąsiedzi posłyszą, czy nie... Płacze długo i żałośnie, jak małe dziecko zagubione w lesie. Naraz do świadomości jej dociera dźwięczny ton bijącego godziny zegara. Maja zaczyna liczyć „jeden, dwa..." narachowała osiem uderzeń... co to? Zegar wskazuje jedenastą. Widocznie płacząc, nie słyszała wcale pierwszych uderzeń. „Jedenasta! Tak późno, a jego niema. Wszędzie cicho, żadnych kroków, widocznie sąsiedzi już śpią... Chyba jakieś nieszczęście Andrzejowi się wydarzyło" — myśli Maja gorączkowo... W głowie czuje chaos od tysiąca najniedorzeczniejszych myśli, a w sercu jakiś nieprzyjemny ucisk. Wysila się na spokój, musi go mieć za wszelką cenę! Mówi sama do siebie uspokajająco: „Andrzej wróci lada moment, lada sekundę... a to, co ja wyprawiam, nie ma przecież najmniejszego sensu!".

Jakoż istotnie uspokaja się powoli.

Już z lepszemi myślami siada przy radju i łapie doskonałą muzykę taneczną z Londynu. Potem podbiega do lustra i przyglądnąwszy się swojej bladej jak papier twarzyczce i czerwonym z płaczu oczom — mówi prawie wesoło: „No, wyglądam okropnie — gdyby mnie Andrzej taką zobaczył, dopieroby się wystraszył!". Pudruje się trochę i podczas tego przypomina sobie, że Andrzej zalecał jej często, gdy była zdenerwowana — głębokie oddychania na świeżem powietrzu — i to jej rzeczywiście pomagało.

Otwarła więc okno i wychyliła się. Zimne powietrze marcowej pochmurnej nocy wtargnęło do jasnego, przytulnego pokoju. Z okien trzeciego piętra, podwórze podobne było do czarnej otchłani bez dna. Wstrząsnęła się od chłodu, gdy wciągnęła mocno powietrze w nozdrza, lecz po kilku minutach poczuła się rzeczywiście lepiej.

Spokojniejsza już, ale bardzo wyczerpana i znużona — zamknęła okno i położyła się na tapczanie.

Chwilę leżała cicho i nawet zdrzemnęła się na kilka minut. Potem znów nadsłuchiwała, czy Andrzej przypadkiem nie idzie.

...a jeżeli zrobił jej na złość z powodu dzisiejszej sprzeczki i umyślnie spędzi dzisiejszą noc poza domem?... Gdzie on może być? A może?... W ostatnich czasach zrobił się Andrzej dziwnie poważny a nawet bywał często zamyślony... Czy istnieje tu jakiś związek? Może ma tajemnicę... kryje coś przede mną?... jeżeli to jakaś kobieta? Nie, nie — to takie do niego niepodobne! Boże! — złapała się za głowę — jakież ja fantastyczne historje wymyślam!

I męczą Maję, torturują — nieprawdopodobne myśli, splatają się w obręcz żelazną i uciskają skronie, aż do potwornego bólu...

Nagle w ciszy nocnej słyszy Maja niewyraźny i daleki dźwięk dzwonka od bramy: najpierw długo, potem dwa razy krótko, potem znowu długo.

To Andrzej. Andrzej... Wychodzi ten stróż, czy nie wychodzi?... Siada na tapczanie i z natężeniem wsłuchuje się w okruchy odgłosów, ledwo dosłyszalnych tu w oficynie. Może iść obudzić stróża? Zrywa się i gorączkowo zaczyna nakładać na siebie ubranie. Ale nie — tyle przecierpiała w ciągu tego wieczora, że niech sobie czeka... choćby godzinę — myśli Maja z niebywałą zaciętością. Biegnie do przedpokoju i tam przytulona do drzwi z zapartym oddechem — czeka: daleki głuchy łoskot — to stróż trzasnął drzwiami swego mieszkania. Cisza. Długa, męcząca cisza i Maja chce znowu wybiec bodaj na schody. Ach, słyszy już kroki! To Andrzej, Andrzej zpewnością! Maja płacze z radości i dygoce ze wzruszenia. Ktoś wstępuje po schodach, mija jedno piętro, drugie — kroki są coraz bliżej, ciężkie, powolne... nie, to nie on... Maja już wie — to urzędnik kolejowy, jej sąsiad, wraca jak codzień o dwunastej... zgrzyt klucza w zamku i drzwi się zamknęły. — Maja stoi zmartwiała z bolesnego rozczarowania, z twarzą mokrą od łez.

Dwunasta godzina! Wraca powoli do pokoju. Nie! Ta bezczynność jest nie do zniesienia! Maja chce coś postanowić, coś działać, zrobić — ale nie wie co... Może się ubrać i iść do miasta... do kolegi biurowego męża, z którym żyją w przyjaźni... Zapyta się, poprosi o radę — co ma robić?... Ale o tej porze? Co sobie ludzie pomyślą o Andrzeju, że go musi szukać po mieście? Nie, nie, nigdzie nie pójdzie, woli już tak czekać w domu.

A jeżeli go auto przejechało? Jeżeli go ktoś napadł? W rozgorączkowanej wyobraźni widzi Maja z całą plastyką przebieg urojonych strasznych wydarzeń. Niemal z krzykiem porywa się gdzieś biec i bronić Andrzeja — więc wkłada szybko płaszcz i nasadza byle jak kapelusz, lecz już we drzwiach opadają ją nowe wątpliwości: „Andrzej jest już może w drodze... gotowi się minąć... potem on pobiegnie jej szukać"... Eh, już została nie w domu. Nie ma siły się dłużej męczyć. Spłynęła na nią chwilowa cisza i jakaś dziwna rezygnacja. Automatycznie pościeliła sobie tapczan, rozebrała się i postanowiła spać nie myśląc o niczem. Leży na wznak, ale sen nie przychodzi i Maja znowu myśli: „Gdzie on jest w tej chwili? Co robi?... Nadejdzie pewnie niedługo. Jakże mu przykro będzie jeżeli się dowie, co Maja wycierpiała w ciągu tego wieczora. Jak ją będzie tulił, całował, przepraszał... jak będzie przejęty swoją winą, jak to tylko Andrzej potrafi...". I znowu jest Maja jedną wielką miłością i tęsknotą — nawet nie czuje już żalu do męża. Zegar tyka — zdaje się Maji — ciszej niż zwykle, jakby i on zmęczony był tem oczekiwaniem.

Wyczerpana, zasnęła na krótko. Miała męczące i smutne sny: Chodziła po pustym, nieoświetlonym domu, z piętra na piętro, z mieszkania do mieszkania i szukała Andrzeja. Nigdzie go nie było. Wyszła wreszcie na podwórze, którego większa część tonęła w ciemnościach a tylko na czarne, brudne popielniki, padało nieprzyjemne zielonawo-trupie światło księżyca. Poco ona tu przyszła? Maja spogląda w górę i poznaje okna swego mieszkania: są ciemne, ale w tej chwili brzękła szyba i Maja z przerażeniem widzi jakąś postać, skaczącą z okna wdół... chce krzyczeć, lecz głos uwiązł jej w krtani, a nogi i ręce ma jak z ołowiu. Maja zamyka oczy i słyszy głuchy stuk... Musi popatrzeć...

Koło cuchnących popielników leży nieruchomo czyjeś ciało. Boże! To przecież Andrzej! W tej chwili Andrzej podnosi się z ziemi z uśmiechem i podchodzi do niej: „Przestraszyłaś się Malutka?" — Maja jeszcze drżąca z przerażenia podbiega do niego... Ale co to? Andrzej chwieje się, taki blady w upiornem świetle księżyca — i Maja widzi, jak z czoła i z zamkniętych oczu spływa mu krew dużemi kroplami...

Z dzikim krzykiem, zlana zimnym potem zrywa się Maja i ratuje z topieli potwornego snu. W jasnem świetle elektryczności mruży oczy, oddycha głęboko i z lękiem spogląda po pokoju. Zegar wskazuje pierwszą. Andrzeja jeszcze ciągle niema! Pod wpływem snu, Maja jest teraz przekonana, że wydarzyło mu się coś złego... Może Andrzej już nie żyje?!! Na samą tę myśl, ogarnia ją taki bezwład i śmiertelne przerażenie, że nie ma siły wstać... usiada wkońcu na brzeżku tapczana. Zimno jej, ręce i nogi ma lodowate. Pójdzie na policję... w każdym razie gdzieś między ludzi... musi mieć teraz siły, dużo sił... Przypomina sobie, że w kredensie jest gdzieś flaszka koniaku. Czepiając się sprzętów, dowlokła się do kredensu. Jest, prawie pełna... Maja przechyla ją do ust, zęby dzwonią o szkło szyjki. Pije chciwie, jak wodę... zakrztusiła się wkońcu.

Maja widzi najpierw dwie, potem cztery, osiem... sto lamp elektrycznych płonie w pokoju. Ale jakaś mgła przysłoniła jej oczy. Jest jakby w kajucie okrętowej. Pokój wiruje, tańczy... widzi sufit pod nogami, a podłogę nad swoją głową. Wiedziona instynktem, z trudnością dotarła do fotela. Ogarnęło ją kompletne otępienie. Dość długo tak siedziała, wkońcu przypomniała sobie Andrzeja, ale z dziwną obojętnością odnosiła się teraz do jego nieobecności. Niema go? I cóż stąd?

Dokończenie na str. 31-ej.

W TEM JEJ DO TWARZY...
Jeden z ostatnich modeli słomkowych kapeluszy.
Fot. Jmre von Santho.



MODA W STOLICACH EUROPY

PARYŻ

Czy istotnie Paryż jest wyłączną centralą mody światowej? Odpowiedź, dana bez głębszego zastanowienia, musi brzmieć: tak! A jednak... Nigdy jeszcze nie starały się poszczególne wielkie stolice indywidualizować w tym stopniu i przystosowywać mody do własnego tła i warunków, jak obecnie. Kobietom, interesującym się modą, wykazującym zrozumienie i gust indywidualny w kwestji ubierania się, pozostaje tylko rozwiązanie kwestji, czy iść za Paryżem, za Wiedniem, czy Londynem?

Paryż... Najpiękniejsze miasto świata, tchnące radością i ukochaniem życia, skupi tego roku z racji wystawy światowej nieprzeliczone tłumy kobiet, które — może podświadomie — zainteresuje w pierwszym rzędzie „haute couture", wystawy salonów krawieckich, jako żywe dowody tego, na co może zdobyć się stolica mody. Już teraz wiadomo, że Paryż idzie po linji zastosowania motywów przyrody w modzie. Kwiaty, bukiety, liście, jako wzory na sukniach, okryciach wierzchnich i kapeluszach! Toczki kwiatowe, niby małe koszyczki kwiatów wszelkiego rodzaju, ukryte wśród powodzi loczków, główki z kwiatów do dużych kapeluszy ze słomy i organdi, kwiaty, zastępujące pompony na beretach, kwiaty jako obramienie dekoltów, talji, a nawet kieszeni przy sukniach o kroju sportowym. Obcisłe w pasie, otwarte i kloszowe płaszcze uwidaczniają jak najwięcej sukni z jedwabiu w kwiaty. Krótkie, przylegające żakieciki kostjumowe, przybrane pękiem kwiatów i podszewką w kwiaty lub kropki, uwidocznioną na zewnątrz, luźne bolerka, przeznaczone jako uzupełnienie tualety całodziennej, ozdobione kolorowym haftem z szutaszu, aż do bolerek wieczorowych, wyszywanych barwnemi perłami, lub bolerek z koronki, uwidaczniają również jak najwięcej bluzki lub sukni w kwiaty.

Na wieczór modne są wszystkie barwy od najżywszych do pastelowych. W tej powodzi barw kontrastujących ze sobą, a jednocześnie harmonizujących estetycznie, trudno będzie się zorjentować. Fasony sukien wieczorowych są luźne, bufiaste, mocno kloszowe i długie. Faworyzowane materjały: jedwabne organdi, koronka i wszelkiego rodzaju jedwabie imprimé. Do lekkich i bufiastych toalet wieczorowych nosi się bolerka, do obcisłych z wielkim dekoltażem cape'y i narzuty z koronki i plisowanej gazy.



WIEDEŃ



Co zapowiada w dziedzinie mody Wiedeń? Śmiało rzec można, że po raz pierwszy w tym roku zaznacza się zupełna indywidualność naddunajskiej stolicy jako ośrodka damskiej sztuki krawieckiej. Dotychczas bowiem stanowiły kreacje wiedeńskie mieszaninę stylu paryskiego i londyńskiego.

Odrębność Wiednia polega przedewszystkiem na subtelności i estetycznem zastosowaniu wiedeńskiego przemysłu artystycznego, który w dziedzinie mody stanął ostatnio na najwyższym poziomie w Europie. Takie właśnie drobiazgi, jak torebki, rękawiczki, paski, obuwie, żaboty i t. d. charakteryzują współczesną modę wiedeńską jako pełną szyku i estetycznego smaku. Fason i ogólna linja zaczerpnięte są z tyrolskich wzorów ludowych. „La Tirolienne" opanowała pracownie płaszczy, kostjumów, sukien sportowych i wieczorowych, nie mówiąc już o dominowaniu tego stylu w pracowniach kapeluszy.

Austrjackie firmy krawieckie, zwłaszcza stołeczne, mają zawsze w pogotowiu dla swojej klienteli urocze niespodzianki w postaci szczegółów w wykonaniu tualet. „Styl tyrolski" przyniósł modzie wiedeńskiej barwne włóczkowe obszycia szwów przy płaszczach i kostjumach z dywetyny lub z lekkiej skóry, względnie z gładkich materjałów wełnianych w rodzaju filców. Okrycia te stanowią uzupełnienie sukien w stylizowane wzory kwiatowe, bufiastych bluz z organdi, lśniącego jedwabiu, lub gazowej żorżety. Fason sukien, zwany popularnie „Dirndl", lansowany jest nietylko w zakresie lekkich sukienek na cały dzień, ale nawet toalet wieczorowych. Obcisłe bluzy, przybierane srebrnemi guzikami, zapinane z przodu, i spódniczki aż do ziemi, à la Tirolienne, stanowią ulubioną tualetę wieczorową, nadającą się do przyjmowania gości w domu, lub na mniejsze zebrania towarzyskie z tańcami. Tualety te szyte są przeważnie z damaszku lub atłasu w barwne wzory kwiatowe.

Żywo kolorowane szaliki jedwabne w formie chusteczek wiejskich, ozdobione scenami z życia wiejskiego, torebki ze skóry, wytłaczanej wzorami w żywe kolory, chusteczki kieszonkowe w pęk kwiatów, kapelusiki przetykane i ozdabiane barwnemi wstążkami z jedwabiu i srebra lub złota — oto charakterystyczne cechy letniej „wiejskiej" mody wiedeńskiej.

LONDYN

Londyn, jako trzecia stolica mody, pretendował zawsze do tytułu najelegantszego miasta w Europie. Mógł sobie na to pozwolić, nietylko ze względu na zadawnione tradycje wytwornego ubierania się, ale także ze względu na ustaloną zamożność. Moda londyńska odznaczała się zawsze notą sportową, a kostjumy i płaszcze „angielskie", gładkie w kroju i wytwornie proste w wykonaniu cieszyły się zasłużoną sławą.

Tego roku postanowił widocznie Londyn zerwać ze sportową tradycją. Propaguje wesołość, beztroskość i fantazję. Daje się zauważyć wybitny wpływ Paryża tak w krojach, jak i w harmonizacji barw i motywów. Zmienił się niemal z dnia na dzień duch czasu w modzie Londynu, jakgdyby starając się dostosować do barwnego i radosnego tła w obliczu uroczystości koronacyjnych. Skorzystały z tego największe firmy paryskie Molyneux i Worth i założyły w Londynie swoje filje, cieszące się wielkiem powodzeniem w sferach arystokratycznych i artystycznych. Spotykamy jednobarwne, kloszowe płaszcze, z przodu rozchylone, odsłaniające suto fałdowane lub kloszowe suknie imprimé z jedwabiu, gazy i organdi. Płaszcze i żakiety uzupełniane są wielkiemi kwiatami w butonierkach lub na klapach, oraz rękawiczkami, urozmaiconemi wzorzystem obszyciem szwów. W przeciwieństwie do Paryża lansuje Londyn olbrzymie kapelusze, przybrane pękami kwiatów i wstążek, podkreślające piękną cerę Angielek.

Angielskie tweedy, dominujące dotychczas jako materjały na płaszcze i kostjumy, użytkowane są wyłącznie na okrycia sportowe, noszone podczas wycieczek samochodowych lub na wsi. Lecz i te materjały porzuciły barwy poważne i odznaczają się mozaikowym doborem barw żywych i wesołych. Podobnie jak w Wedniu, modne są kostjumy i całe suknie szydełkowane lub robione na drutach i to naprawdę w domu, ozdabiane barwnemi kwiatami z włóczki lub jedwabiu. Regjonalność mody zaznacza się — jak we Wiedniu dominującym fasonem „Tirolienne" — lansowaniem fasonów i barw szkockich, dobieranych żywo i efektownie. Prawdziwy szyk angielski cechuje nietylko odrębny krój, szkockie barwy i drobiazgi z wełny, ale nawet — niefałszowany owczy zapach wełnianych tualet i szczegółów z włóczki.

Mla.



ŻYCIE
towarzyskie i artystyczne

GARDEN-PARTY U WICEKRÓLA INDYJ



Odbywające się rok rocznie przyjęcie w rezydencji wicekróla Indyj w Kalkucie zgromadziło i tym razem maharadżów i ich rodziny, oraz szereg osobistości z angielskich sfer rządowych. Na zdjęciu: Lady Linlithgow, żona wicekróla Indyj (na prawo) i gubernator Bengalu sir John Anderson (w cylindrze) w towarzystwie maharadży Hajderabadu (na prawo), jednego z najbogatszych ludzi świata.

WIZYTA MIN. GRABOWSKIEGO W BERLINIE



Na zaproszenie ministra sprawiedliwości Rzeszy niemieckiej, dra Franka, wyjechał do Berlina, minister Grabowski, który wziął udział w posiedzeniu Akademji Prawa, instytucji, uzgadniającej przepisy międzynarodowych postanowień prawnych. Na zdjęciu: min. Grabowski wraz z małżonką (na lewo) w otoczeniu ambasadora R. P. Lipskiego i min. dr Franka po przybyciu na dworzec w Berlinie.

„MAŁA KITTY" W TEATRZE MALICKIEJ



„Mała Kitty i wielka polityka" — oto tytuł sztuki, która ostatnio zdobyła sobie na scenie Teatru Malickiej wielki sukces, a to głównie dzięki koncertowej grze aktorskiego zespołu, pomysłowej reżyserji Z. Sawana i pięknej oprawie dekoracyjnej S. Kurmana. Na zdjęciu: Marja Malicka (Kitty) i Włodzimierz Ziembiński (minister).

RZEŹBIARZ PARYSKI PRZY PRACY



Leon Rivier, znany rzeźbiarz paryski wykańcza obecnie dwa dużych rozmiarów posągi, personifikujące Muzy, które staną u wejścia do „Muzeum Sztuki Nowoczesnej" na Quai de Tokio w Paryżu. Na zdjęciu: Leon Rivier przy pracy w swem atelier rzeźbiarskiem (widoczne oba posągi — w głębi inne prace mistrza.

MARJA URSYNÓWNA



WANDA STANISŁAWSKA



Na prawo:
Wanda Stanisławska, utalentowana artystka Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, zdobyła sobie w bieżącym sezonie uznanie krytyki i sympatję publiczności.

Na lewo:
Marja Ursynówna, wybitna artystka Teatru Wołyńskiego w Łucku, która w wielu sztukach osiągnęła pełny sukces artystyczny i wybiła się na czoło aktorskiego zespołu.

Dla prawdziwie nowoczesnej kobiety, wiosna — to nietylko wizyty u krawcowej, wybór nowego kapelusza i obnoszenie pod okiem zazdrosnych przyjaciółek najmodniejszych wiosennych kreacyj — to przedewszystkiem hasło promieniejące radością życia i fizyczną tężyzną — nowego sportowego sezonu. Długie wędrówki narciarskie po śnieżystych puchach — zawrotne holendry na skrzącej lodowej powłoce — owszem, to piękne wspomnienia z ubiegłej zimy; ale to nie to samo, co spotkanie z pierwszem wiosennem słońcem, co zachłyśnięcie się pędem auta, mknącego po lśniącej autostradzie, co śmiały skok najady z wysokiej trampoliny w słońcem drgające fale, co emocjonujące wycieczki w góry, ku szczytom skąpanym w błękicie nieba, w szmaragdy lasów i bezkres kwitnących łąk.

Futra, swetery i solidne sportowe dressy idą na spoczynek do szaf na długi letni sen. Zastąpią je lekkie kostjumy z lnianych samodziałów i praktycznych shantungów, barwne i do koniecznego minimum zredukowane kąpielowe kostjumy i wzorzyste plażowe „pareos", króciutkie białe szorty i niekrępujące ruchów wioślarskie koszulki. Kobieta wyzwolona z ciężkich okryć i futer zimowych jak motyl zawita na wiosnę całą gamą najjaśniejszych i najżywszych kolorów,



Gwiazdy filmowe Barbara Pepper i Anita Colby chętnie odpoczywają w motorówce po nużącej pracy w studjo filmowem.

Piękna Pani uprawia sporty...

grających w słońcu, jak barwy kwiatów na łące. Młodość i zdrowie to jej największe uroki — słońce to najlepszy sprzymierzeniec. A pamiętajmy, — że „nie tak in illo tempore bywało". Piękna i elegancka kobieta bała się słońca, jak najgorszego wroga swej urody. Skoro tylko zalśniło w pełni swego wiosennego żaru, uzbrajała się w parasolki, wuale i kapelusze o szerokich skrzydłach, chroniących jej twarz zazdrośnie przed najlżejszą opalenizną .Piękna kobieta musiała być wówczas cieplarnianym kwiatem; mleczna cera, krucha i filigranowa postać, wąskie, spadziste ramiona i wypielęgnowane, śnieżno-białe ręce były jej nieodzownemi atrybutami.


Przygotowania do wiosennej wycieczki żaglówką...

Wenus dwudziestego wieku uznała, że tak, jak słońce i wiosenny wiatr nie szkodzą delikatności płatków kwiatowych i nie kradną barw motylim skrzydłom, tak i jej urok nie potrzebuje się obawiać bezpośredniego, szczerego kontaktu z Przyrodą. Dobry, delikatny krem i cieniutka warstewka pudru wystarczą jej dla ochrony cery przed zbyt brutalnym kontaktem z wiatrem i słońcem — giętka i smukła jej postać nie lęka się ruchu i fizycznego wysiłku, przeciwnie, w nim czerpie eliksir długiej młodości i zdrowia

A więc wytacza się z garażu małe sportowe kabrjolety i długie, rasowe torpeda. Zawarczy niecierpliwie motor; kształtne, lecz mocne dłonie spoczną na kole kierownicy i pomkniemy w słoneczną dal, wydłużającą się w nieskończoność perspektywę gładkiej


Niejedna z gwiazd filmowych zawdzięcza smukłość swej figury jeździe na rowerze...

szosy, na spotkanie nieznanej przyrody. Wiatr zaszumi nam w uszach radosną swą piosenkę, odgarnie nam włosy z czoła i zdmuchnie z niego wszelką troskę i nudę szarej codzienności. Po tygodniu pracy i obowiązków, radosny weekend na łonie przyrody pozwoli nam odetchnąć pełną piersią i zapomnieć o trudach. Jeśli brak nam auta, zastąpimy je motocyklem, jeśli i na niego nas nie stać, pozostanie nam rower — a w ostateczności autobus lub pociąg, który w przeciągu kilku minut przeniesie nas daleko od kurzu i hałasu miejskiej ulicy. Week-end nie jest rozrywką dla najbogatszych, każdy i każda może sobie nań pozwolić, o ile tylko bierność i lenistwo nie stanie na przeszkodzie.

Jedną z największych atrakcyj wiosennego i letniego sezonu są sporty wodne i plażowanie. Wioślarka, pływanie, żeglarstwo stanowią dla eleganckiej kobiety nowoczesnej pole do popisu tak fizycznej sprawności, jak i wdzięku i dobrze zrozumianej elegancji sportowej, nie polegającej na kosztownych i ekscentrycznych strojach, lecz na harmonijnem połączeniu praktyczności i celowości ubioru, z jego estetycznym i modnym wyglądem. Pretensjonalne kostjumy kąpielowe amerykańskich gwiazd nie przyjęły się na szczęście w ko


Emocjonująca spinaczka górska stanowi jedną z najprzyjemniejszych sportowych rozrywek...



we międzynarodowe ekspressy, białe parowce w błękitnych zatokach; ptakom podobne samoloty zrywają skrzydła do lotu... A jeśli nie należymy do tych „wybranych", przed którymi świat stoi otworem, zadawalamy się choćby wycieczką za miasto, byle tylko choć na chwilę zmienić otoczenie i spotkać wśród ciszy i zieleni tę prawdziwą Wiosnę, która niewiele ma wspólnego z jej miejską imitacją.

Wiosna budzi w nas wiarę we wszelkie możliwości, toteż kuszące jej obietnice wywołują nowe uśmiechy na usta kobiece, nowe rumieńce na delikatne policzki. Cóż nam ta wiosna przyniesie? Wierzymy, że spełni to, co obiecuje. Może maleńki spor-



Piękna pani umie ocenić przyjemność wiosennego spaceru w towarzystwie swego ulubieńca...

Po pierwszem zwycięstwie na korcie tenisowym w nowym sezonie...



Na prawo w kole: Pierwsze dni upalne »otwarły« sezon kąpielowy...

łach kobiet prawdziwie eleganckich. Natomiast barwne trykoty z pięknej i solidnej wełny co roku stają się bardziej urozmaicone, tak pod względem doboru kolorów, jak i kroju. Moda na plaży pozwala zakwitnąć kobietom blaskiem jasnych kolorów uroczych wzorzystych „pareos", pasiastych, kąpielowych burnusów i wdzięcznych sukien plażowych, które powoli, ale systematycznie wypierają opatrzone już pidżamy, psujące niewątpliwie harmonijne linje sylwetki kobiecej. — Nasz Bałtyk „jeszcze trochę mrozem dmucha", ale plaże południa roją się już od gwarnego i roześmianego tłumu. Na złocistym piasku wybrzeży jakże słodko jest oddawać się rozkoszy „dolce far niente", odpoczywając pod palącą pieszczotą południowego słońca po odświeżającej kąpieli morskiej. Na błękitnym horyzoncie kolorowe i białe żagle zakwitają w podmuchu orzeźwiającej bryzy, a śmigłe motorówki prują leniwe fale długiemi bruzdami śnieżnej piany. Pod jaskrawemi parasolami nadmorskiej kawiarni strojne kobiety promienieją blaskiem wiosennych tualet i niekrępowanej wesołości.

Wiosna budzi w nas, jak w ptakach, nieprzepartą tęsknotę wędrówki. Otrząsamy się z martwoty zimowej i pożądamy odmiany ruchu, nieznanych wrażeń i szerokiej dali. Na wystawach biur podróży kolorowe plakaty przemawiają do nas rozkosznemi wizjami dalekich krajów. Primavera sicilina — wiosna w Meranie — Dalmacja, kraj wina i słońca — Słoneczna Riwiera — kwitnące różowemi kwiatami migdałów wybrzeża włoskich jezior, — oto pokusy, którym jakże trudno się oprzeć. Czekają na nas luksuso-

towy samochód, o którym marzyłyśmy oddawna — może nareszcie srebrnego lisa, w którym nam tak będzie do twarzy, może upragnione sportowe sukcesy — a może Miłość, tę Miłość przez wielkie „M", na którą czeka się nieraz tak długo...

Może tak, a może i nie... Ale ten kuszący flirt z nadziejami, które niesie budząca się wiosna, stanowi jej nieprzeparty i największy urok.

Lady Like.

»Wesoła trójka« wybiera się na wiosenną wycieczkę samochodową...



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA „WITAMINOWA" (na zapytanie czytelniczki). 6 dkg perłówki średniej grubości wypłókać w zimnej wodzie i postawić z małą ilością również zimnej wody do gotowania. Wśród gotowania rozkłóca się drewnianym rogalem perłówkę, aby się dobrze rozkleiła. Do wazy wlewa się 1/4 litra gęstej kwaśnej śmietany, dodaje 1 żółtko, siekanego kopru i zielonej pietruszki po łyżeczce i pół łyżeczki soli. Wszystko razem roztrzepuje się dokładnie miotełką. Tuż przed wydaniem wlewa się gotującą perłówkę na śmietanę, mieszając, aby się żółtko nie ścięło. Zupy nie gotuje się więcej; podać ją można na ciepło lub w upalne dni zastudzoną.

KLUSECZKI GRYSIKOWE DO ROSOŁU. 8 dkg grysiku rozciera się z 1 jajem rękami na desce, tworząc w ten sposób drobne kluseczki, które rozsypuje się po desce, aby zupełnie wyschły. (Najlepiej sporządzić je zaraz rano, a do obiadu będą wysuszone). Kluseczki te zasypuje się na gotujący rosół, zupę lub mleko i gotuje przez 8 minut. Można je też gotować w małej ilości słonej wody i podać polane masłem z smażoną cebulką.

GRZYBKI Z CIASTA. Do jarzyn, zup, lub ubierania półmisków z pieczystem itp. ładnie wyglądają i bardzo są smaczne smażone z ciasta grzybki. Do sporządzenia ich potrzebna jest mała foremka na długiej rączce, którą dostać można za grosze. Ciasto do tego celu ubija się z 1/4 litra mąki, którą się najpierw rozbija z dwoma jajami i dolewanem po trosze mlekiem. W ten sposób sporządzane ciasto będzie gładkie. Mleka powinno wyjść 1/4 litra, lecz zależy to od suchości mąki; czasem wystarczy mniej mleka, o ile mąka nie jest bardzo sucha. Ciasto powinno być lejące, trochę gęściejsze od naleśnikowego. Nie należy zapomnieć o posoleniu ciasta. W półlitrowym garnuszku rozpala się mieszamy tłuszcz, jak na pączki, wkłada do niego foremkę, aby się mocno rozgrzała, wyjmuje i otrząsa z tłuszczu, poczem szybko zanurza do połowy w przygotowanem cieście i wraca z nią do gorącego tłuszczu, trzymając tak długo, aż ciasto nabierze bronzowego koloru i łatwo z foremki spada. Można przy zdejmowaniu pomagać sobie końcem noża, ale ostrożnie, bo ciasto jest bardzo kruche. Grzybki wykłada się na bibułę, aby z tłuszczu osiąkły. Ładnie wyglądają takie grzybki, ułożone na serwecie i napełniane jakiemś ragout rybnem, mięsnem lub jarzynowem. Również nadają się doskonale na legumine, napełnione kremem, poziomkami i bitą śmietaną. Napełniane nie figurują już jako grzybki, lecz odwrócone jako miseczki.

RAGOUT Z KURCZĄT „À LA TOULON". 2—3 kurczęta oczyszczone i wymyte soli się i kropi cytryną, układa w rondlu na różnych pokrajanych jarzynach, dodaje mleczko cielęce, sparzone i obrane z błony oraz podróbka z kurcząt, nalewa gorącą wodą do połowy wysokości kurcząt i gotuje. Kiedy kurczęta i mleczko miękkie, wyjmuje się je z rosołu i kraje w ćwiartki, mleczko w kostkę, zaś wątróbki i żołądki w wąskie paski. Osobno gotuje się kawałek główki cielęcej, poprzednio parę razy sparzonej, kilka pieczarek oraz wszystkie odcięte z łebków kurczaków grzebienie, które posłużą do ubrania półmiska. Mięso z ugotowanej główki cielęcej kraje się również w kostkę. Z łyżki masła i tyleż mąki zagotowuje się jasną zasmażkę i rozprowadza ją natychmiast ostudzonym rosołem z pod kurcząt, wciska trochę soku z cytryny, dodaje pół łyżeczki cukru, kontroluje, czy sos dość słony, wkłada kurczęta oraz resztę pokrajanych dodatków i dusi razem jeszcze przez kilka minut. Sos musi być bardzo gęsty, można go również zaciągnąć żółtkami. Ragout ułożone na półmisku, ubiera się wokoło pieczarkami, grzebieniami koguciemi, pasztecikami lub grzybkami z ciasta. Można też całe ragout włożyć w upieczony osobno spód z brzegiem z francuskiego ciasta, tj. tak zwany vol au vent. Do tego celu musi się jednak kurczęta obrać zupełnie z kostek. Do przybrania tego wykwintnego ragout nadają się też, będące obecnie na czasie, szyjki rakowe.

KREM CYTRYNOWY. 4 całe jaja, 3 łyżki stołowe wody, 10 dkg cukru, sok z dwóch cytryn oraz skórkę otartą z jednej cytryny, łyżeczkę mąki ziemniaczanej lub innej mączki, służącej do zagęszczania kremów, rozbija się spiralką od piany bardzo dokładnie. Następnie wstawia się do drugiego naczynia z gorącą wodą i ubija dalej na ogniu, aż krem dobrze zgęstnieje. Zastudzony w formie wydaje się z waflami lub biszkoptami.

RAGOUT Z PODRÓBEK ZIELĘCYCH. 50 dkg płucek, wątróbki i serca — wszystkiego po kawałku, gotuje się w słonej wodzie. Miękkie i wystudzone, sieka się drobno i dusi na cebulce w maśle z pęczkiem zielonej pietruszki, podlewając rosołem, w którym się mięso poprzednio gotowało. Z łyżki masła i mąki smaży się jasną zasmażkę, ostudza ją i rozciera z paru żółtkami oraz sokiem cytrynowym, dodaje pół kostki cukru, otartej na skórce cytrynowej i podprawia tym sosem ragout. Potrawa nie powinna być zbyt gęsta. Podaje się ją otoczoną ryżem, ugotowanym na sypko.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Przecieranie przez sito różnych owoców dokonywuje się w kuchni bardzo często, używając do tego bądź łyżki, bądź też specjalnego wałeczka. Tym razem reprodukowana pałeczka — ścięta i wydrążona w środku, w której znajduje się drewniana kulka, służy do przecierania owoców przez sito. Pracę tę wykonuje się przy pomocy pałeczki znacznie prędzej, niż innymi sposobami.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 21 — **Maj** — 31 dni

NIEDZIELA **16** Zielone Święta	Zupa rakowa. Suflet szparagowy. Kapłon pieczony z sałatą lub mizerją. Kompot. Krem cytrynowy z kruchemi ciastkami. <u>Kolacja</u>: Polędwica na zimno z sałatą surówką.
PONIEDZ. **17** Poniedz. Z. Św.	Zupa szparagowa z grzankami. Paszteciki z móżdżkiem. Rulada cielęca z jarzynami i sałatą. Tort czekoladowy z białek z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Ragoût z kurcząt.
WTOREK **18** Feliksa	Barszcz z młodych botwinek z fasolką. Budyń szpinakowy. Befsztyki niemieckie /siekane/ z krokietkami z ziemniaków i sałatą. Kompot z rabarbaru. <u>Kolacja</u>: Jaja na szynce lub kalafior z móżdżkiem na grzankach.
ŚRODA **19** Iw., Piotra S. dn.	Rosół z groszkiem smażonym. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Wiedeńskie sznycle z marchewką. Strudel z jabłkami lub rabarbarum. <u>Kolacja</u>: Omlety aux fines herbes z sałatą.
CZWARTEK **20** Bernarda	Zupa grysikowa. Kalarepka z wody z masłem i bułeczką. Wątróbka cielęca szpikowana, pieczona w całości, z ryżem. Kompot. <u>Kolacja</u>: Makaron z parmezanem.
PIĄTEK **21** Heleny kr. S. dn.	Krupnik na śmietanie. Knedle bułczane z sosem grzybowym lub z masłem. Pstrągi na niebiesko z ziemniaczkami. Budyń serowy z śmietaną. <u>Kolacja</u>: Kasza tatarczana z kefirem.
SOBOTA **22** Julji, Emilji S. dn	Consommé w rosole. Hachée z mięsa z jajem sadzonem. Kurczę nadziewane, pieczone z sałatą i ziemniaczkami. Placek drożdżowy z serem. <u>Kolacja</u>: Kaszka krakowska z grzybami i twardemi jajami.

HOCKI-KLOCKI

PRZYGODA KORONACYJNA.



— Od miesiąca rezerwuję sobie to wspaniałe miejsce, tymczasem okazuje się, że orszak koronacyjny tędy nie przejdzie!

Rys. Charlie.

ŻARŁOCZNA SKRZYNKA POCZTOWA



— Przecież miałeś tylko wrzucić list do skrzynki?!

— Tak, ale w skrzynce przycięło mi palec i nie mogę go wyciągnąć... ***Rys. Charlie.***

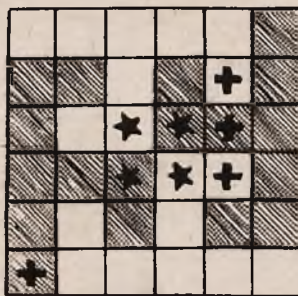
Rozwiązania z N-ru 19.

KIELICHY.

Spadek wielkości średnic wynosił 10%, a więc każda średnica równała się $^9/_{10}$ poprzedniej.

Ponieważ objętość stożka równa $^1/_3$ objętości walca o tej samej wysokości i średnicy równej podstawie stożka, więc — jeśli zawartość kufla wynosi 3 — cztery pierwsze kielichy będą zawierać kolejno 1, $(^9/_{10})^2$, $(^9/_{10})^4$ i $(^9/_{10})^6$, gdyż przy równych głębokościach zawartości są proporcjonalne do kwadratu średnicy. Suma tych czterech zawartości wynosi w dużem przybliżeniu 3.

GWIAZDY I KRZYŻE.

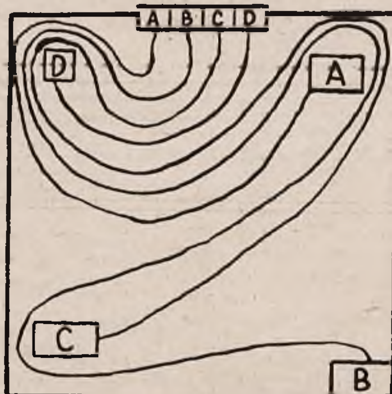


Rozwiązanie wskazuje rysunek.

DZIEWIĘĆ CYFR.

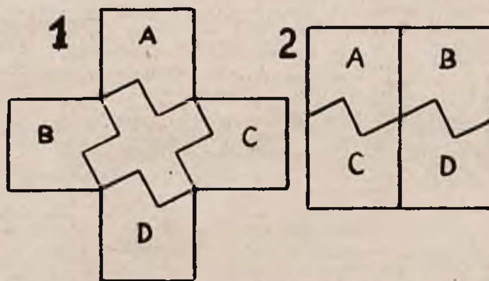
Liczba 94,857.312 pomnożona przez 6 daje wynik 569,143.872 — dziewięć cyfr występują w każdej z tych liczb tylko jeden raz.

WSPOMNIENIE ZIMY.



Rysunek wskazuje rozwiązanie.

KWADRAT I KRZYŻ.



Jeśli wytniemy mniejszy krzyż w ten sposób, jak to jest wskazane na rysunku 1, to cztery kawałki A, B, C i D po przyłożeniu do siebie utworzą kwadrat, jak to wskazuje rys. 2.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

W SZKOLE.

Z okazji imienin nauczycielki w klasie, Wisi Wróbelkówny, dziewczynki obdarzono cukierkami. Przy pierwszem rozdaniu każda dziewczynka dostała 4 cukierki, a 44 pozostały. Wówczas nauczycielka kazała sobie wszystkie cukierki oddać i rozdała po raz drugi, dając po 6 sztuk. Ile było dziewczynek i ile cukierków?

MĄŻ, ŻONA I JABŁKA.

W piwnicy pewna ilość jabłek leżała w równych szeregach. Mąż wziął dziesięć razy tyle jabłek, ile było szeregów, jego żona zaś wzięła dziesięć razy tyle jabłek, ile ich było początkowo w każdym szeregu. W piwnicy zostało tylko jedno jabłko. Ile jabłek było początkowo?

HUMOR ZAGRANICZNY

PRZYJACIEL DZIECI.



Dozorca ogrodu zoologicznego do kolegi. Wiem, że ma pan dzieci, ale to nie jest znowu powód, aby zabierać zwierzęta do domu!

„Ric et Rac"

Dokończenie z str. 11-ej.

do której ma dostęp z zewnątrz powietrze. Ponieważ węże nie mają powiek, a oczy ich pokryte są tylko przeźroczystym naskórkiem, powietrze, które wchodzi między dawną a nową powłokę, czyni węże przez pewien czas ślepymi i wtedy wyglądają one, jakgdyby miały na oczach bielmo.

Z rozpoczęciem wylinki pęka najpierw stary naskórek u wierzchu głowy, a wąż pomaga sobie przesuwaniem się po szorstkiej powierzchni i przeciskaniem się między mchem i gałązkami. W miejscach, gdzie zaskrońce trzymają się, można nieraz znaleźć dobrze zachowane zrzucone skórki wężowe.

Dawniej porzucone skórki wężowe zbierane były dla odbywania rozmaitych guseł, a i dzisiaj zdarzają się jeszcze okolice, gdzie te rzucone „koszulki" wężowe mają pewne znaczenie w zabobonach, a nawet i w ludowem lecznictwie. Koszulki wylinkowe niektórych jadowitych wężów są wysoko cenione w starej tradycyjnej medycynie chińskiej. **Z. M.**

Dokończenie ze str. 24-ej.

Mówi coś — ale nie wie napewno, czy to jej głos, czy też do niej ktoś mówi. Głowę ma ciężką jak z kamienia i zaczyna odczuwać nudności. Maja jęczy i chwyta się za głowę: duszno jej... niedobrze... zataczając się, podchodzi do okna i długo męczy się z zasuwkami — wreszcie otwarła je i chwiejąc się, usiadła na parapecie. Coraz bardziej jej słabo, czuje mdłości — przechyla się gwałtownie poza parapet, traci momentalnie równowagę i spada bez krzyku w czarną noc. Daleki, głuchy stuk — i cisza.

Przyczajony gdzieś wiatr zaszarpał firankami i zdmuchnął łyżeczkę z krawędzi stołu. Brzęknęła srebrzyście o posadzkę.

— — — — — — — — — — — —

W kilka minut potem dzwonił do bramy Andrzej. Był pełen skruchy i dręczących wyrzutów sumienia. Oto spotkał przyjaciela z szkolnej ławy, którego nie widział od wielu lat... no, poszli sobie do baru, gwarzyli o tem i o owem i zagadali się tak, że Andrzej ani spostrzegł, jak północ minęła. Pospiesznym krokiem wchodził na trzecie piętro, bo chciał jak najprędzej być u boku swojego „biedactwa", które napewno ze strachu o niego płacze... Swoją drogą, był bardzo lekkomyślny — niezwykle wrażliwa Maja może się rozchorować z lęku i niepokoju. „Po raz pierwszy i ostatni zdarzyło mi się coś podobnego — więcej się to nie powtórzy!" — obecuje sobie solennie. Prawdę mówiąc, to mógł tego kolegę równie dobrze zaprosić do domu— myśli ze złością na siebie Andrzej, szukając klucza po kieszeniach. Niema go! Jeszcze bardziej niezadowolony, że o ile Maja śpi, to musi ją zbudzić — dzwoni do drzwi.

Ale tym razem dzwonił Andrzej długo i napróżno.

To warto poznać...

NA SCENIE.

We Lwowie uczczono jubileusz 35-lecia pracy scenicznej H. Barwińskiego, artysty, szczególnie związanego z tem miastem. Był on tutaj aktorem, reżyserem i dyrektorem teatru; ponadto brał czynny udział w obronie Lwowa przed najazdem ukraińskim. Toteż jednym z najbardziej wzruszających momentów uroczystości była chwila, gdy z pośród gratulantów wystąpił legjonista z harmonją, aby piosenką lwowską uczcić zasłużonego artystę.

Jubilat wystąpił w sztuce Kraszewskiego p. t. „Radziwiłł Panie Kochanku". Sala rzęsistemi brawami obdarzyła występ Barwińskiego.

*

W Teatrze Narodowym w Warszawie wystawiono komedję G. B. Shawa p. t. „Korsarz i Lady", należącą do dawniejszego okresu twórczości autora angielskiego (z przed blisko 40 lat). Jest to hymn pochwalny na cześć kobiety. Otoczona bardzo mieszanem towarzystwem Lady potrafi wytrwać w swem „apostolstwie"; udaje jej się nawrócić i skruszyć kapitana Brassbounda. Nie brak wprawdzie i w tej sztuce ostrych cięć ironji, ale w stosunku do swej bohaterki zachowuje Shaw do końca głęboki sentyment.

Prawdziwy triumf odniosła Mieczysława Ćwiklińska w roli Lady i Józef Węgrzyn, jako Korsarz. Z innych wykonawców trzeba wymienić: Brydzińskiego, Myszkiewicza, Dominiaka, Łapińskiego. Reżyserował Ryszard Ordyński.

*

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie zamienił się na chwilę w scenkę eksperymentalną, dając podczas jednego wieczoru sztukę głośnego pisarza amerykańskiego, laureata Nobla, O'Neilla i „syntezy" Marinetti'ego p. t. „Jeńcy".

Sztuka O'Neilla oddycha parną atmosferą tropików: słowa padają ostre i brutalne. Początkowo sądzimy, że będziemy świadkami konfliktu energicznej, choć nikczemnej jednostki z biernym, ciemnym tłumem. Później jednak autor skupia całą uwagę na ucieczce murzyńskiego cesarza przed zbuntowanymi poddanymi. Podczas tej ucieczki Jones przeżywa w puszczy najrozmaitsze rodzaje lęku, upostaciowane dosyć naiwnie. Są to nocne strachy, widma, które rozpraszają się na wystrzał rewolweru. Ostatecznie, wystrzelawszy wszystkie naboje — cesarz Jones sam dostaje parę kul od swych poddanych. W roli tytułowej wystąpił p. Woźnik, starając się nas przekonać do tej nieprzekonywującej postaci. Jako śpiewak pieśni Lamy wyróżnił się p. Czesław Czaja. Na pochwałę zasłużyły dekoracje p. Tadeusza Orłowicza, który dość szczęśliwie rozwiązał trudny problem inscenizacji wciąż zmiennego terenu ucieczki cesarza.

„Jeńcy" Marinetti'ego składają się z ośmiu „syntez" czyli odsłon. Dekorator p. Tadeusz Orłowicz dał próbkę symultaneistycznej oprawy sceny, t. zn. dekoracyj łączących w jednym obrazie kilka odmiennych fragmentów.

Marinetti, twórca „słów na wolności", zwolennik dynamicznego rozmachu w sztuce — okazuje się w „Jeńcach" raczej oschły i monotonny. Akcja jest bardzo wątła; całość sprawia wrażenie zbyt uproszczonej alegorji. Widzimy austrjackich jeńców wojennych na tle krat i murów więziennych. Skandują oni smętnie swoje żale, jakby się obawiali, że możemy nie zrozumieć intencji autora: Nie tylko my jesteśmy więźniami, cały świat jest więzieniem... Pociechę w niewoli przynosi Rozyna, żona dozorcy więziennego, symbolizująca poryw zmysłów. Ażeby nie mieć złudzeń co do jej wartości, Marinetti czyni ją wiarołomną żoną, nieomal trucicielką swego męża i złodziejką.

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

Wśród dzisiejszej beletrystyki, będącej po największej części jedynie fotografją współczesnego życia, wszelkiego rodzaju esseje i szkice, zdążające do stworzenia pewnego syntetycznego obrazu, są wielką rzadkością. Epoka nasza pozostawi bezwątpienia ciekawe dokumenty obyczajowości, mało jednak który autor stara się z filozoficznego punktu widzenia patrzeć na współczesnych. A jednak tego rodzaju utwory mają swój wybitny urok i swoją rację bytu. Nie chodzi tu, rzecz prosta, o utwory ściślej filozofji, lecz o rzeczy posiadające choćby to minimum głębszego sądu o życiu jakie zawierają tanie bajki Krasickiego, czy La Fontaine'a. Taką miłą książką, posiadającą głębsze podłoże, to **„Wojna z czasem" Stefana Nowińskiego** (skład główny Dom Książki Polskiej S. A. Warszawa 1937). Są to właściwie feljetony, drobne szkice na najrozmaitsze tematy. Przytoczmy kilka tytułów, dających nam wyobrażenie o rożnorodności zainteresowań autora: „Uspołecznione picie piwa", „Majówka", „Towarzystwo popierania dobrego gustu", „Zmowa rzeczy martwych" itd. Autor z dużą pogodą człowieka mądrego z typu ludzi przedwojennych, mających swój własny sąd, przypatruje się ludziom i rzeczom i uśmiecha się i snuje nić porównań i refleksji. Niezawsze złośliwie, — czasem nawet z łezką. Szkice Stefana Nowińskiego posiadają jakiś powab spokoju, zastanowienia, równowagi wewnętrznej, przypominają duchem i formą rzeczy pisane dawno, za czasów Bolesława Prusa, a może nawet szkice tego autora. Dużo się można z nich dowiedzieć, a raczej poznać sposób patrzenia na życie z ubocza, „sine ira et studio", mądrze. Książka ta powinna przypaść do gustu i serca licznym Czytelnikom, gdyż jest bezwątpienia pozycją wartościową w dziale tak rzadkich essejów, napisana z wielką kulturą.

Jgm.



Niedziela, 16 maja.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa.
10.30 „Słynni dyrygenci" — koncert.
12.03 Poranek muzyczny.
14.30 „Trzy ballady" — aud. muzyczno-słowna.
15.00 Muzyka rozrywkowa.
15.30 „Audycja dla wsi.
16.00 Dawne tańce (płyty).
16.20 „Jak świętowali szewcy w Szamotułach" — słuchowisko.
17.00 Koncert symfoniczny (z Katowic).
19.00 „Na wakacjach" i „Cienie" — obrazki B. Prusa.
19.20 „Nasi ulubieńcy śpiewają" — (płyty).
21.00 Wesoła Syrena: „Przegląd majowy".
21.30 „Z dzisiejszej twórczości muzycznej Lwowa".
22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 17 maja.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia.
10.30 „Popularne zespoły salonowe" — koncert.
11.30 „Dni Lwowa" — migawki.
12.03 Poranek muzyczny w wyk. Orkiestry Polskiego Radja.
14.00 Transmisja zlotu harcerskiego Chorągwi Warszawskiej.
14.30 Lekkie piosenki i dwufortepjanowe utwory.
15.10 Rozstrzygnięcia konkursu dla dzieci „Dlaczego powinniśmy kochać i szanować las".
15.30 Audycja dla wsi.
16.00 Polska Kapela Ludowa.
17.00 „Piękno Warszawy" — odczyt.
17.15 Wirtuozi smyczka (płyty).
18.20 Reportaż z przebiegu Zjazdu Kół Śpiewaczych w Toruniu.
18.30 Koncert nagrodzonych chórów na konkursie zorganizowanym przez Pomorski Zw. Kół Śpiewaczych.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 „Stare przeboje".
21.00 „Przy literackim stoliku" — wieczór literacki.
21.30 „Z zapomnianych arcydzieł".
22.00 Transmisja meczu piłkarskiego Pogoń—Vienne (ze Lwowa).
22.30 Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek, 18 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
15.15 Muzyka lekka (płyty).
16.30 Zespół Stefana Rachonia.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich".
17.15 „Symfonion Drucik o kobiecie" — monolog.
18.20 Orkiestra Dajosa Beli (płyty).
19. „Dyskutujmy": „Antagonizm wsi i miasta".
19.20 „Mniej znane walce".
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Odchylenie od normy" — fragment z dzieła J. Bystronia „O komiźmie".
22.50 Muzyka lekka (płyty).

Środa, 19 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert rozrywkowy.
15.15 Muzyka salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R.
16.10 „Ojcowizna" — słuchowisko dla dzieci według B. Prusa.
16.35 Orkiestra mandolinistów.
17.00 „O kampanji kijowskiej" — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Z psychologji zwierząt" — pogadanka.
18.20 Muzyka lekka (płyty).
19.00 „Prus w perspektywie czasu" — szkic literacki.
19.15 Płyty dla znawców.
19.50 Marja Eggerth i Jan Kiepura.
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 Józef Haydn: muzyka do dramatu „Król Lear".
22.10 Muzyka taneczna.

Czwartek, 20 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Utwory Mikołaja Rimski-Korsakowa (płyty).
15.15 Koncert popołudniowy.
16.35 Śląskie pieśni ludowe.
17.00 „Pogotowie pracy" — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Wojciech Oczko — znakomity lekarz polski 16-go stulecia" — odczyt.
18.20 Orkiestra jazzowa Roy Foxa (płyty).
19.00 Premjera słuchowiska pt. „Stary subjekt" podług „Lalki" Bolesława Prusa.
19.45 Muzyka lekka (płyt).
20.00 Duński koncert europejski. — Transmisja z Kopenhagi.
21.15 „Schodnica — kolebka polskiego przemysłu naftowego" — feljeton.
21.30 Kwartet Schrammal.
22.00 XVI Audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Jan Maklakiewicz".

Piątek, 21 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert popularny w wyk. Ork. Reprezentacyjnej K. P. W.
15.15 Piosenki o miłości (płyty).
16.30 Koncert rozrywkowy.
17.00 „Warszawa jako stolica Polski" — odczyt.
17.15 Wileńska orkiestra P. R.
18.20 Fortepjan i skrzypce jako instrumenty jazzowe (płyty).
19.00 „W Musafirchanie" (W gospodzie tureckiej) — opowiadanie.
20.45 Fragment operowy.
20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.
22.30 „Trzy życzenia" — skecz.
22.45 Muzyka taneczna (płyty).

Sobota, 22 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Marsze i walce koncertowe" (płyty).
11.30 „Wesoły zwierzyniec" — obrázki dla dzieci młodszych.
15.15 Trio salonowe Polskiego Radja.
16.15 „Krajobrazy w muzyce" — wykonaniu Orkiestry pod dyr. A. Hermana.
17.00 Transmisja nabożeństwa majowego z Ostrej Bramy w Wilnie.
18.20 Nastrojowe piosenki (płyty).
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert kameralny.
21.30 Chór Orlanda w swoim repertuarze.
22.00 „Dawny światek literacki w satyrze Prusa".
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.